WYBÓR PISARZÓW POLSKICH I OBCYCH
DLA DOMU I SZKOŁY Nr. 11

JULJUSZ SŁOWACKI

LILLA WENEDA

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

— I —

GRÓB AGAMEMNONA

ZE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO

WYDANIE II

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA KRAKÓW LUBLIN ŁÓDŹ POZNAŃ WILNO
THE POLISH BOOK IMPORTING COMPANY INC., NEW YORK

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH I OBCYCH
DLA DOMU I SZKOŁY Nr. 11

JULJUSZ SŁOWACKI

LILLA WENEDA

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

I

GRÓB AGAMEMNONA

ZE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO

WYDANIE II.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA KRAKÓW LUBLIN ŁÓDŹ POZNAŃ WILNO
THE POLISH BOOK IMPORTING COMPANY INC. NEW YORK

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58586
BGZs 58586
Biblioteka Pedagogiczna Wojewódzka Radom
58586

»Lilla Weneda«, wzruszającym wdziękiem wysuniętej na czoło dramatu postaci, urokiem tajemniczości niedostępnej oku dziejopisa epoki, bogactwem świeżych, uderzających wyobraźnię naszą figur, niezwykłością wstrząsających położeń, grozą i siłą nastrojową obrazów, pięknością prostego, zwięzłego, słodyczą i siłą naprzemian porywającego wysłowienia, dawno już przemówiła do dusz czytelników i krytyków i zaliczoną została do grupy najulubieńszych i najpopularniejszych utworów w tak bogatej puściźnie wielkiego poety.

Uznanie to, jednomyślne nieomal, jest słuszne i odpowiada estetycznym i moralnym wzruszeniom, jakich poeta duszom naszym tu dostarcza. Mimo jednak względnej prostoty w układzie i jasności wysłowienia, »Lilla Weneda« nie odsłania odrazu i każdemu swoich tajemnic, swoich właściwości i piękności. Nie każdemu z czytelników, a nawet nie zawsze i krytykom, udawało się wyśledzić ukryte w utworze myśli i uczucia twórcy, pochwycić nici wiążące duszę poety z postaciami, położeniami i wynurzeniami spotykanemi w przebiegu akcji, dostrzec tajemnicze, nieujęte odblaski nastrojowego oświetlenia, w jakiem ukazywał się dramat ten wyobraźni Słowackiego, i odnaleźć rozproszone w różnych postaciach i chwilach odbicia stanów jego duszy.

Utworzona r. 1839, w Paryżu, ukazała się »Lilla Weneda« na świat w temże mieście r. 1840[1]),

[1]) Poprzedzający dramat list do Krasińskiego datowany jest 2 kwietnia r. 1840.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1922

w niecały rok po ogłoszeniu »Balladyny« (Paryż 1839) a na rok przed »Beniowskim«. Nagromadzone przez podróże po Włoszech i Wschodzie (r. 1836 i 1837), rozczytywanie się w arcydziełach poezji (Dante, Szekspir, Ariost, Tasso, Calderon, Chateaubriand, Byron, Kochanowski Jan i Piotr, Mickiewicz), przyjazne, ścisłe stosunki z Krasińskim — wrażenia, obrazy, postaci, nastroje, myśli, zbogaciły duszę, rozszerzyły horyzonty wyobraźni, usubtelniły i spotęgowały artyzm poety, świadomego obecnie swych uzdolnień, swego mistrzostwa. »Długo po świecie pielgrzym tajemniczy chodziłem farby zbierając do dzieła«, powiada on w »Beniowskim« a w pięknym liście do »autora Irydjona«, poprzedzającym »Lillę Wenedę«, przyrównywa się do »kolportera biegającego po świecie i rozkładającego na leśnej murawie swe małe bogactwo«, swój »nowy teatr«, którego widownię okalają zielone sosny, aktorami są duchy, a kierownikiem idealny reżyser, sam poeta. Taka widownia i tacy artyści odpowiadali potrzebom wyobraźni, upodobaniom twórcy, odwracającego się ze wstrętem od rzeczywistości a przedewszystkiem od martwoty i szpetności dekoracyj zwykłych i rekwizytów, od banalności i komedjanctwa dusz aktorskich, niezdolnych do pojęcia i odtworzenia jego udramatyzowanych ballad, romansów, poematów, których piękność polega nie na charakterach i zawisłej od nich akcji, lecz na zespole nastrojowym lub kontraście jaskrawym blasków, mroków, kształtów, ruchów, brzmień przyrody, — z anielskością, demonicznością, rycerskością, podniosłością, trywjalnością i innemi odmianami uczuciowości i nastrojowości ludzkiej.

Postaci ludzkie odgrywają w tym zespole rolę zarówno odcieni świetlnych obrazu: szarych, srebrzystych, płomienistych, mglistych, jak i dopełnień plastycznych krajobrazu nastrojowego (wieniec 12 harfiarzy, okalający wzgórze z monumentem druidycznym — Roza Weneda na tle groty oświetlonej blaskiem płomieni). Drganie, ruchy i brzmienia przyrody łączą się w jedną symfonję z ruchami, głosami, tonami uczuciowemi postaci ludzkich. Zarówno reżyser, kierujący wystawieniem »Lilli Wenedy«, jak czytelnik, chcący odczuć jej piękności, muszą w swej wyobraźni odtwarzać, jednocześnie z lekturą, zaznaczoną przy każdej zmianie miejsca tak często (21 razy) zachodzącej w tym utworze — całość krajobrazu, jego oświetlenie, zjawiska atmosferyczne, ugrupowanie przedmiotów i postaci świata ludzkiego. Monologi dialogi i chóry nie stanowią tu całości tworu poety, są to tylko niejako objaśnienia obrazów, słowa do muzyki niewidzialnej, niedostępnej słuchowi, muzyki barw i tonów, którą ująć trzeba wzrokiem i słuchem duszy, która dopiero tym słowom nadaje właściwe znaczenie, siłę, piękność, blask, wywołuje w duszy naszej nastroje pokrewne nastrojowi twórcy, pozwala widzieć nam i odczuwać to, co widział i odczuwał sam poeta.

Nie myśląc o wprowadzeniu na sceny polskie swych utworów, nie troszczył się o uwzględnianie w nich warunków scenicznych, zwłaszcza ówczesnego teatru. Tak samo też nie troszczył się o spełnienie warunków, jakie wzory poprzedników, teorja dramatu i wymagania krytyków wkładały na dramaturga. Poddawał się on jedynemu wymaganiu praktycznemu: podziału na akty i zamknięcia akcji w ramach ciałości pięcioaktowej.

Wybrawszy ze skarbca nagromadzonych w duszy obrazów i postaci te, które w danej chwili uderzały najsilniej jego wyobraźnię i najlepiej nadawały się do odtworzenia interesujących duszę położeń, dążeń, nastrojów, wprowadza te postaci w odpowiadającą im nastrojowym charakterem epokę, na równiez nastrojową widownię i stara się wysnuć ze stosunków, zachodzących między temi postaciami, szereg scen wzruszających, wstrząsających, czarujących, nietyle rozwojem charakterów, słabo i chwiej-

nie zaznaczonych, ile świeżością, niezwykłością, subtelnością i siłą tła, ugrupowania, oświetlenia i tonów uczuciowych. Przytem poeta zawsze, a w »Lilli Wenedzie« więcej niż w innych utworach, wplata w wątek snującej się akcji, w wynurzenia różnych postaci, a wreszcie w wybuchy liryczne chóru, często nawet bez względu na sprzeczność z charakterami osób i położeniem, — swoje uczucia, wierzenia, pragnienia.

Już pierwszy poważny biograf Słowackiego i krytyk jego dzieł, Antoni Małecki, przed laty pięćdziesięciu, w rozbiorze »Lilli Wenedy« dostrzegł, że »Juljusz pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacją« że jego logika »nie była rozumowa, refleksyjna a więc prawdziwa logika«, ale mimo to ocenia te dramaty ze stanowiska wymagań zwykłej logiki i szkolnej poetyki, szuka w nich myśli przewodniej, idei moralnej, a nie mogąc osiągnąć zadowalających wyników, wyrzuca poecie brak tego, czego on nie zamierzał dać w dramacie, a jako błędy i wady wskazuje: symboliczność, mglistość, nieujętość, na których polega właśnie piękność nastrojowa tych utworów.

Jedyną winą poety było, że usiłował wcisnąć w starą formę tragedji nowe, nie mieszczące się w niej, wymagające innych kształtów pomysły. Znaną mu przecie była swobodna, luźna budowa dramatu fantastycznego, jakiej przykładu dostarczyły takie utwory jak Faust, Manfred, Dziady, i której sam próbował w »Kordjanie«. W utworach tych liryczna spowiedź, refleksyjne wynurzenia twórcy, wcielającego się w postać bohatera, górują nad całością akcji. Drugorzędne postaci, uboczne epizody służą do odsłonięcia, w różnych położeniach, różnych stanów duszy bohatera i do wypowiedzenia przez usta innych osób (jak np. Ksiądz, Anioł Stróż, Duch, Ksiądz Piotr w »Dziadach«) takich myśli i stanów

duchowych, jakie nie odpowiadały położeniom i nastrojom przeżywanym w utworze przez główną postać.

»Lilla Weneda« nie posiada takiej postaci, którąby można uważać za wcielenie duszy poety, ale zato w pewnych chwilach, nie zawsze może odpowiednio wybranych, wszystkie niemal wprowadzone tu osoby — tak dobrze dobroduszny Gwalbert jak błaznujący Ślaz, anielska Lilla czy krewka Gwinona i demoniczna Roza Weneda, odsłaniają nam w swych wynurzeniach uczucia, dążenia, myśli samego twórcy, chór zaś jest zawsze niemal organem brzmiącym potężnemi tonami jego podnieconego ducha. Genezę »Lilli Wenedy« skreślił z niedorównaną pięknością słowa sam jej twórca, w liście do Krasińskiego, umieszczonym na czele dramatu, stwierdzając swobodą, ożywieniem radosnem, polotem swej objaśniającej charakterystyki ścisłą spójnię treści dramatu z najdroższemi marzeniami i tajnikami własnej duszy. Rzecz naturalna jednak, iż nie chciał i nie mógł nam odsłonić tych tajników i tylko napomknieniami swojemi pozwala się ich domyślać. Resztę miał utwór sam dopowiedzieć czytelnikom, którzy zdolni będą pochwycić, ukazujące się im chwilowo, w błyskawicach obrazów i wyrazów, i znikające we mgłach oddalenia, wyznania i wybuchy uczuciowe. Za życia poety jedynym czytelnikiem, który rozumiał i odczuwał — niezupełnie jednak — zarówno piękności jak i ukryte w »Lilli Wenedzie« myśli i uczucia, był Krasiński.

Późniejsi krytycy: Małecki (1866), Tarnowski (1881), Nehring (1884), W. Hahn (»Studjum nad genezą Lilli Wenedy«, 1894), Chmielowski (wstęp i komentarze do wydania dramatu w Bibljotece Westa, 1903 r.) nagromadzili dużo wskazówek co do wpływu obcych pisarzów (Szekspir, Schiller, Chateaubriand) na pomysły i styl utworu, zajmowali się rozbiorem charakterów i akcji, dochodzeniem i objaśnieniem myśli przewodniej. Co do tej myśli to

wahają się komentatorowie między dwoma wprost przeciwnemi pojmowaniami: dramatu wytworzenia społeczeństwa drogą podboju i zmieszania zdobywców ze zwyciężonymi — i tragedji zgonu, upadku, niezdolnego do czynu, żyjącego tylko pieśnią narodu. Utwór dostarcza w szczegółach wskazówek, popierających jedno i drugie przypuszczenie. Co jednak myślał, co zamierzał poeta wyrazić w tym dramacie, o tem krytycy nie mogli nic pewnego powiedzieć. Ostatni z nich, Chmielowski, streszczając wyniki dociekań poprzedników, widzi w osnowie »Lilli Wenedy« »upadek narodu, przypominający czytelnikowi wciąż losy własnego społeczeństwa — ujęty w formę napół realną, napół fantastyczną, baśniową«. Dopatruje się przytem idei Przeznaczenia, powodującej »katastrofę«, lecz przysłoniętej motywami baśniowego charakteru (ocalenia Derwida przez córkę) i komicznemi postaciami Ślaza i Gwalberta. Słusznie w końcu określa utwór jako »znakomity poemat dramatyczny«. Mimo to jednak, wraz ze swymi poprzednikami, rozpatruje i ocenia »Lillę Wenedę« jako tragedję, podczas gdy poecie chodziło o odtworzenie w szeregu scen i obrazów widzeń swej wyobraźni i wypowiedzenie, za pośrednictwem tych fantazyjnych postaci i wydarzeń, własnych miłości, nienawiści i pragnień. Jak niewidomy Derwid, gdy, szukając rękami harfy, natrafia na zwłoki córki, woła: »Tu jest także pieśń, te złote włosy, na których będę grał«, tak i poeta posługuje się postaciami dramatu jakby strunami czarodziejskiej harfy, na których wygrywa pieśń potężną swej marzącej i cierpiącej duszy.

Charakteryzując, w liście do Krasińskiego, postaci utworu, zaznacza poniekąd sam tony, jakiemi brzmieć będą w jego harfie, toruje drogę czytelnikom do pochwycenia zasadniczego motywu, tonu samego poety, w tym dramacie symfonicznym serc ludzkich, odzywających się różnorodnemi dźwiękami.

Zarówno wydobyty niedawno z ukrycia list Krasińskiego, jak wskazówki, nasuwające się przy zestawieniu »Lilli Wenedy« z wcześniejszemi i późniejszemi utworami Słowackiego, pozwalają uzupełnić i rozjaśnić podaną przez niego genezę tego dramatu.

Sama postać córki, poświęcającej się dla ocalenia ojca, nasunęła się wyobraźni poety po raz pierwszy w r. 1835, gdy przebywając podczas lata w Veytoux nad jeziorem genewskiem, miał za towarzyszów swej samotności Szekspira i Byrona. Czytając »Wędrówki Child Harolda«, napotkał tam, w trzeciej pieśni, dwie zwrotki, poświęcone wspomnieniom Julji Alpinuli, kapłanki rzymskiej. Dodany przez autora przypisek podawał tekst łaciński nagrobka zmarłej, wzruszającego swą prostotą i tajemniczą zwięzłością silniej niż refleksje Byrona.

W roku następnym (1836), przebywając na wiosnę w Rzymie, zapoznał się i zaprzyjaźnił Słowacki z bawiącym tam Zygmuntem Krasińskim, który właśnie, w swoim rozwoju duchowym, przechodził okres pesymizmu co do swoich losów a także przeszłości i przyszłości społeczeństwa polskiego, jęczącego wtedy pod najstraszniejszym uciskiem. Jaskrawym wyrazem tego nastroju jest list do ojca (z 26 stycznia 1836 roku), mieszczący rozpaczliwą syntezę przeszłości. Próżniactwo, lekkomyślność, rubaszność, próżność i błazeństwo — oto cechy naszego życia narodowego, zdaniem twórcy świeżo wydatnego wtedy »Irydjona«, w którym przecie, z taką miłością i współczuciem dla cierpień ojczyzny, wyprawiał mściciela krzywd Grecji na północ, »do ziemi mogił i krzyżów«. Jakże odmiennie brzmi ton jego poufnie wypowiadanego sądu o nieszczęśliwym narodzie! »U nas było ogromne nic... ni arystokracji, ni mieszczaństwa, ni ludu. — Byliśmy politycznemi Infusoriami [1]) nie indywiduami... Czy-

[1]) Wymoczkami.

śmy mieli kiedy co polskiego na świecie prócz Rubaszności? Ni cnota, ni niegodziwość, ale *mezzotermino* [1]) — błazeństwo. Ni sroga tragedja, ni idylla niewinna, ale *mezzotermino:* farsa. I tak leżąc na kożuchu, pijąc małmazję i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu«. Krańcowa jaskrawość i dosadność tych sądów uderzyła swą niezwykłością wyobraźnię słabo obznajmionego z przeszłością narodową Słowackiego. Pobyt w Rzymie i Neapolu, podróż na Wschód, która go zetknęła ze wspaniałemi pomnikami odwiecznej kultury Grecji i Egiptu, umocniły jeszcze w duszy poety przekonanie o ubóstwie kultury polskiej, o niższości cywilizacyjnej ziomków w stosunku do ludów starożytnych i narodów Zachodu. Z drugiej jednak strony uczuwał się znowu sam duchowo zbratanym z największymi poetami świata, przez potężniejący artyzm, po stworzeniu »Balladyny« zwłaszcza, — uważał się za zdolnego zmierzyć nietylko z Byronem, ale Dantem i Szekspirem. Świadomość tego mistrzostwa umacniał w nim swemi uwagami, w poufnych rozmowach, Krasiński. Jeżeli więc rodacy nie oceniali go, nie dostrzegali piękności jego utworów, to przyczyny szukać należy w odrębności duchowej, wyłączającej poetę, wraz z bratem duchowym Krasińskim, z rubasznego, prostaczego społeczeństwa.

Pierwszym wyrazem uczuć i myśli, jakie wywołał nasuwający się wyobraźni poety z całą siłą kontrast kulturalny dawnej Polski i błyszczących śnieżną białością marmurów, owianych czarem mitów i wspomnień dziejowych posągów i pomników starożytnej Grecji, — kontrast, objaśniający tak bolesny mu stosunek ziomków do jego twórczości — był pełen siły i szczerego uniesienia, lecz z upojeń wyobraźni nie z pracy własnej badawczej myśli wysnuty wiersz: »Grób Agamemnona«, napisany niewątpliwie

[1]) Coś pośredniego.

jeszcze w r. 1837, ogłoszony po raz pierwszy w »Młodej Polsce« [1]) a następnie jako »chór poety« przy pierwszem wydaniu »Lilli Wenedy« w Paryżu r. 1840. Wiersz ten, przez długie lata dla młodych, zapalnych, niezdolnych do krytycznej analizy umysłów stanowił syntezę dziejów narodu, podstawę sądów o przeszłości i wskazówkę dróg przyszłości. Słowacki nadał tu sądom i poglądom, przejętym żywcem od Krasińskiego, formę płomiennej satyry, palącej żarem sarkazmu, wrzynającego się w dusze żmijowemi biczami rozpaczliwego patosu a jednocześnie kojącej te dusze porywami marzycielskiego patrjotyzmu.

Wyobraźnia poety, pociągnięta raz w tym kierunku, nie poprzestała na pierwszem wybuchowem odbiciu podniecających ją myśli i obrazów. Poszukując rozjaśnienia pierwotnych faz tak bolesnego dla duszy własnej przeciwieństwa, genezy własnej wyższości i odrębności, zanurzyła się w mroki przeszłości przeddziejowej, w której znalazła tyle piękna odtworzonego w obrazach i postaciach »Balladyny«. Tylko nastrój duchowy poety a więc i stosunek jego do tej przeszłości będzie różny zupełnie. To też niema żadnego związku wewnętrznego między temi dwoma dramatami, które pozornie wydają się jakby epizodami zapowiedzianego we wstępie do »Balladyny« wielkiego poematu, z sześciu dramatów na tle dziejów pierwotnych osnutych.

W umysłach i dziełach historyków polskich w epoce między 1820 a 1840 r. przewijała się hipoteza lechickiego początku państwa i społeczeństwa polskiego. Lechici owi, o których po raz pierwszy wspomina Kadłubek, utożsamiający ich z Polanami (»Lechitae seu Poloni«), mieli przybyć około wieku VI w okolice nadgoplańskie i tam, osiedliwszy się, wytworzyć przez pomieszanie z miejscową ludnością

[1]) Pismo polskie, wydawane podówczas w Paryżu.

(Polanami) państwo, w którem zachowali dla siebie stanowisko klasy uprzywilejowanej (szlachty). Tak się mniej więcej przedstawiały początki Polski umysłom Bandtkiego, Lelewela, Szafarzyka, Maciejowskiego. Mickiewicz, w swych »Pierwszych wiekach historji polskiej«, opracowanych przed r. 1837, rozwija szeroko tę hipotezę, wyprowadzając Lechitów (Lachów, Lazów) aż z Kaukazu. Ostrożniejsi od poety, wyżej wymienieni badacze, nie stawiając tak śmiałych przypuszczeń, wstrzymywali się od rozstrzygania kwestji plemiennego pochodzenia Lechitów.

Słowacki, zetknąwszy się z tą hipotezą, dostrzegł w niej odpowiedź na dręczące go pytania, znalazł rozwiązanie i oświetlenie swego stosunku do przeszłości i współczesnych, a przytem wątek pozwalający mu wysnuć całe pasmo obrazów, postaci i położeń świeżych, niezwykłych, wstrząsających.

Ponieważ Polanie pojawili się dopiero w wieku X w dziejach, poeta więc wprowadził do swego dramatu jako mieszkańców okolic nadgoplańskich Wenedów, gdyż nazwy tej dla plemion zachodniej Słowiańszczyzny używają dawni dziejopisowie. Wynikałoby stąd, że Polanie późniejsi powstali z pomieszania Lechitów z Wenedami.

Poeta daje Wenedom cechę (artyzm poetycko-muzyczny, mający swój wyraz w roli, jaką odgrywają tam harfiarze i harfy), pozwalającą upatrywać w nim potomka, zespolonego duchową łącznością z praojcami-harfiarzami, i rozciągnąć to pokrewieństwo na przyjaciela-poetę — Krasińskiego.

Jak ów »Kastor z bratem Polluksem jaśniejący na czele« zastępu gwiazd świecących na niebie polskiem w astronomji Wojskiego, tak związani wspólnością pojęć, uczuć i celów dwaj bracia Wenedzi: Lelum i Polelum, w swem ponownem wcieleniu, w dwu zespolonych również nierozerwalnemi węzłami poetach, nawiązują między początkiem dziejowym a chwilą obecną związek tajemniczy. Nad stosem

ich, w zakończeniu, ukazuje się Bogarodzica, stwierdzając duchowe zwycięstwo braci i wyższość nad zwycięzcami. W obrazie tym poeta odtworzył swe nadzieje i pragnienia triumfu, przy pomocy Niebios, idei odrodzenia narodowego za sprawą jej wieszczów i wodzów duchowych, jakich widział w sobie i Krasińskim. Postać Bogarodzicy, jako patronki i symbolu anielskości i królewskości przyszłej Polski pośród ludów świata, ukazywać się odtąd będzie w utworach Słowackiego i Krasińskiego, otwarzających ich podniosłe marzenia o przyszłości odrodzonej ojczyzny. Spotkamy tę postać zarówno w »Przedświcie« jak »Psalmach«, zarówno w »Zborowskim« jak »Wierszu do autora Trzech Psalmów« i »Królu Duchu«.

DO AUTORA IRYDJONA.

LIST DRUGI [1]).

Kochany Endymjonie [2]) poezji, drzemiący w cieniu gajów laurowych... Z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych i trzema błyskami budzę ciebie ze snów niespokojnych... Wstań! wstań! mój Endymjonie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazji, zielony sosnami teatr, bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnej murawie biegającego po świecie kolportera [3]) małe bogactwo. — Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łzą, jeżeli można; z pochwałą, jeżeli można; a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź, rzymski w złotej zbroi, z ognistym pancerzem rycerzu! [4]) Nowe mary stoją przed tobą: oto jest wzgórze okryte zieloną murawą, na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych kamieni i trzynasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu białowłosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane... To straszne wzgórza zwierciadło, to krew narodu...[1]) Śpiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe, wołać nowych na zemstę rycerzy. — Czy ci nie smutno.

Oto jest rycerz, z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella, z Kastora i z Polluksa [2]) złożony; rycerz, którego jedna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz mający dwie dusze i dwa ciała; nieszczęście narodu; Przeznaczenie, dowodzące potępionemu przez Boga ludowi... Wódz z dwojakiem i nie śmiesznem już więcej nazwiskiem: oto stoi na stosie ostatecznym jako posąg przyszłości [3]). Czy go widzisz?

---

[1]) List pierwszy poprzedzał »Balladynę«, ogłoszoną drukiem r. 1839.

[2]) Endymjon, syn Zeusa, kochanek Seleny (Djana). Zostawał w uśpieniu, z którego budziły go promienie księżyca.

[3]) Poeta nazywa siebie kolporterem, który podróżując, zbiera po świecie pomysły, obrazy i rozkłada je teraz na »leśnej murawie« dla przyjaciela przedewszystkiem.

[4]) Jest to aluzja do Irydjona, który w Rzymie walczył przeciw Rzymowi.

[1]) Krajobraz z tym układem scenicznym spotykamy w piątej scenie aktu V. Pominął tam poeta tylko krwawe jezioro, w którem przegląda się wzgórek. Obraz ten nadawałby się, dla wywołania odpowiedniego nastroju, jako pierwsza odsłona poprzedzająca, wraz z koniecznym wstępem muzycznym, przedstawienie sceniczne. Na konieczność muzyki wskazuje sam poeta, każąc śpiewowi harf dwunastu rozlegać się nad ludem umarłych.

[2]) Kastor i Polluks (Polydeukes), synowie Zeusa, bliźniacy, wskutek wzajemnej miłości nierozdzielni z sobą. Związek ten unieśmiertelniony nadaniem imion bliźniąt parze gwiazd. Mickiewicz w »Panu Tadeuszu« wymienia je w opisie nieba wieczornego:

Kastor z bratem Polluksem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Słowian Lele i Polele.

Stąd zapożyczył Słowacki imion dla braci Wenedów. Pomysłu skucia łańcuchem walczących dostarczył poecie Chateaubriand, wprowadzający w swych »Męczennikach« dwu braci Franków skutych łańcuchem.

[3]) Nazywając dwu braci, stojących na stosie, »posągiem przyszłości«, ma tu Słowacki na myśli związek duchowy, spajający go z Krasińskim i czyniący z dwu poetów — jednego wodza duchowego narodu.

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swemi nogami... Eumenida eschylowska [1]) krzycząca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo! — Czy się nie wzdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych i zamieszkał w czaszcze olbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki już pustej źrenice, powoje owinęły ją dokoła. — Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej krzyż stoi, lampa się pali i błyszczy obraz Rafaelowski Boga Rodzicy. — Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz, jak szemrze modlitwa? [2]) Lecz — o! biada — o! losy... słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. — Cóż, mój Galilejczyku? [3])

Oto jest brat Rolanda a praszczur Sobieskiego [4]), człowiek silnej ręki i molierowskiej w domostwie słabości [5]); kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący

---

[1]) Jedna z tragedyj Eschylosa nosi tytuł: »Eumenidy«. Miano to dawali Grecy boginiom zemsty.

[2]) Opis ten jest odbiciem wrażeń, wyniesionych z odwiedzin klasztoru w Wallombrozie i pokazywanej tam celi św. Gwalberta.

[3]) Aluzja do okrzyku: »Zwyciężyłeś, Galilejczyku«, którym kończy się »Nieboska Komedja«.

[4]) Roland, rycerz z epoki Karola V., opiewany w późniejszych pieśniach i romansach. Nazywając Lecha »praszczurem Sobieskiego«, stwierdza poeta swe przypuszczenie o normandzkiem pochodzeniu szlachty polskiej.

[5]) Odnosi się to do uległości Lecha w stosunku do energicznej Gwinony; Molier w swych komedjach często wprowadzał słabych, zawojowanych mężów.

i krwią oblany po szyję — kontusz mu włożyć i żupan — niechaj panuje — bez jutra.

Oto nareszcie jest twarda dziewka skandynawska; oto mniejsze mrówki ludzkości pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa w osobie Ślaza. — Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada, a czasem szczebioce Alfierego językiem [1]).

Nacóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam: jam tych mar nie wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda; a ja, ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytych, usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy.

Ile razy więc zwyczajem teraźniejszych poetów chciałem zacząć kwilącą serca dysekcję, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okrasić [2]), tyle razy mary zjawione krzyczały z kra-

---

[1]) Cechą postaci w tragedjach Alfierego (1749—1803) jest wyłączność władnących ludźmi, silnych uczuć, nie dopuszczających do duszy żadnych innych bodźców. W postaciach Rozy i Lilli mamy właśnie odbicie wszechwładzy jednego uczucia. Język, jakim przemawia Roza, ma siłę i zwięzłość Alfierego, »szczebiotaniem« zaś Słowacki nazywa widocznie prostotę i szczerość słów Lilli.

[2]) Poeta temi słowy ironicznie charakteryzuje właściwości, jakie spotykamy u wielu poetów, zostających pod wpływem »Cierpień Wertera« Goethego i poematów Byrona. Sam Słowacki, w poprzednich swoich utworach, jak Arab, Lambro, Godzina myśli, Kordjan, Anhelli, dawał czytelnikom taką »dysekcję« (rozkrawanie) własnego serca, i »melancholizowanie« swej doli, swoich położeń. Teraz chce poeta otrząsnąć się z tych słabości i okazać się prostym, silnym i zdrowym.

jów przeszłości: Serca nasze były zdrowe i ciała, w mowie naszej nie było niespodziewanych concetti [1]); choć córki królewskie, nie wzdychałyśmy do księżyca, choć synowie królewscy, pędziliśmy woły na paszę; Osjan [2]) usłyszał naszego zgonu historję, lecz nie znalazł w niej dosyć chmur księżycowych, duchów, sarn, błyskawic i wiatru wzdychającego przy mogiłach, ani więc ruszył harfy, na omszonym dębie wiszącej, ale odpędził nas w mgłę niepamięci rozpaczne. — Lecz ty, mówiły dalej mary, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona grobowcu, ty, jadący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra [3]) królewna płótno bieliła matczyne, mów o nas prosto i z krzykiem [4]).

Tak namówiony wziąłem pół-posągową formę Eurypidesa tragedji [5]) i rzuciłem w nią wypadki, wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli mi Bóg pozwoli, to na tej, nieco marmurowej

[1]) Concetti, wyraz włoski, znaczy: gra słów, koncept.

[2]) Osjan, mniemany bard koledoński z wieku III. po Chr. Poeta szkocki Macpherson ogłosił w r. 1760 swoje utwory, opiewające przedhistoryczne życie Kaledonów, jako utwór barda Osjana, znaleziony w jakiejś grocie. Cała Europa uwierzyła temu zmyśleniu i rozkoszowała się nowością i poetycznością odsłoniętego jej z pomroki dziejów tajemniczego świata. Przekładane na wszystkie języki, znalazły te dumy Osjana i u nas tłumaczów w Krasickim, Goszczyńskim i Ilnickiej.

[3]) Elektra, córka Agamemnona, występuje w tragedjach Sofoklesa i Eschylosa.

[4]) Odnosi się to do wspomnień z podróży Słowackiego po Grecji.

[5]) Eurypides, tragedjopisarz grecki, żyjący w drugiej połowie wieku V. przed Chr., wyrażał namiętności i uczucia swych bohaterów o wiele silniej, niż poprzedzający go Sofokles, stąd Słowacki, mając na myśli silny (»z krzykiem«) wyraz uczuć bohaterów swej tragedji, powiada, iż wybrał »półposągową formę Eurypidesa«. W układzie utworu jedynie wprowadzenie chóru przypomina wzory greckie.

podstawie oprę szersze, bardziej tęczowe, lecz mniej fantastyczne niż Balladyna tragedje [1]), tylko ty, Irydjonie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział idące na mnie węże [2]), weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. — Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że, dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką

[1]) W liście do Krasińskiego, poprzedzającym »Balladynę«, oświadczał poeta, iż »Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu, w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj czyli kronik dramatycznych». Chciał widocznie Słowacki zespolić tu realizm dramatów historycznych Szekspira z fantastycznością i swobodą opowieści, cechującą »Orlanda szalonego«. Zmiana nastroju duchowego wpłynęła na zmianę zamiaru, i oto znowu, po roku, zapowiada Krasińskiemu i czytelnikom cykl tragedyj, snujących wątek dziejowy, nawiązany w »Lilli Wenedzie«, tragedyj mniej fantastycznych, t. j. mniej ariostycznych, pozbawionych tego pogodnego uśmiechu i wdzięku naiwności, cechującego poprzedni utwór, udramatyzowaną balladę, a zato bardziej »tęczowych« i opartych na nieco »marmurowej podstawie«, a więc wiążących realne fakty dziejowe ze światem nadziemskim, — już nie wierzeń ludowych, ale religijnych poniekąd, pozwalających nad bohaterami i katastrofami roztaczać tęcze i aureole mistycznych blasków i zjawisk.

[2]) Ma tu poeta na myśli nieżyczliwych, krytyków przedewszystkiem. W pierwszej pieśni »Beniowskiego« (oktawa 28) charakteryzuje ich jako psy, żyjące »tem, co ich ząb uchwyci na pięcie wieszcza«, jako mieszkańców krainy »niczego«, pełnej »wężowych ślin, pajęczych nici i krwi zepsutej«.

postać, jak nimfa, uwieńczona jaskółkami, które pierz chają z włosów, dotknięte słońca promykiem; jedną taką postać, jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma [1]). — Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi, a że jest pustą i szeroką [2]), to przypomina mi złote pustynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował. — Jest to wreszcie dla mnie droga konieczna; ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć [3]), albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni, śpiewany przez poetę [4]). — Na Odyna [5]) niech wrzeszczą samochwalce — a ja z drgającemi ustami wracam pod skrzydła twoje ochłonąć.

A teraz słyszę, że mnie pytasz, skąd się w mojej myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiła — posłu-

---

[1]) Wspomniane tu przez poetę postaci i obrazy znajdują się w Balladynie i są niewątpliwie kwiatami artyzmu poety, który w postaci Goplany ukazał swoją subtelność, wdzięk i lotność.

[2]) Znaczy to, że poeta nie spotyka na swej drodze współzawodników, a potęgą swej wyobraźni i artyzmu zdolnym się czuje ogarnąć szerokie przestwory.

[3]) Jest to bardzo ciekawe i prawdziwe wyznanie, objaśniające naturę artyzmu i ducha poety, niezdolnego do interesowania się rzeczywistością życia ludzkiego, a nawet i realnemi szczegółami przyrody. Wyobraźnia jego goniła tylko za tem, co niezwykłe, nadprzyrodzone, nieuchwytne, nieokreślone, rozpływające się i niknące w przestworzach przestrzeni i czasu.

[4]) Mowa tu o wierszu: »Grób Agamemnona«, którego związek z osnową »Lilli Wenedy« wyjaśniono we wstępie krytycznym.

[5]) Odyn, nazwa skandynawska Boga, zwanego w mitologji germańskiej Wotanem.

chaj. Przed pięcią laty mieszkałem nad jeziorem Szwajcarji, blizko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium [1]). Miasteczko to, położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy [2]), czarowało mię swoją wiejską i spokojną pięknością; na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legjonowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozproszyć — Co? — kilka małych domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościołek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią, owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych, mnóstwem owoców spłonione. Takiem jest dzisiaj to miasteczko — lecz niegdyś, przed wiekami, na tem samem miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski, ucinający głowę starca, i słowo S. P. Q. R. [3]), błyszczące na rzymskich chorągwiach. Czas wszystko uciszył. Z całej owej historji został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

JULJA ALPINULA

NIESZCZĘŚLIWEGO OJCA NIESZCZĘŚLIWA CÓRKA. BOGÓW AWENTYŃSKICH KAPŁANKA.

---

[1]) Wywód ten jest błędny, gdyż Villeneuve wzięło początek w wiekach średnich; w pobliżu miasteczka leży wieś Avenches, dawne Aventicum.

[2]) Zamek Chillon, wsławiony przez poemat Byrona »Więzień Chillonu«, przełożony przez Fran. Morawskiego. Skały Heloizy opisał Rousseau w romansie »Nowa Heloiza« (1761 r.).

[3]) S. P. Q. R. znaczy: Senatus Populusque Romanus. Litery te rozpoczynały wszystkie uchwały publiczne i mieściły się na sztandarach legjonów.

WYPROSIĆ OJCA OD ŚMIERCI NIE MOGŁAM. NIESZCZĘŚLIWIE UMRZEĆ W LOSACH JEGO BYŁO. ŻYŁAM LAT XXIII[1]).

Mój Irydjonie, ta młoda dziewica, ta czysta kapłanka, co żyła lat 23, skarżąca się tak cicho a tak przeraźliwie — z przeszłości: ona to zamieniła się w Lillę Wenedę; chciałem kwiat łączny przenieść do Polski; niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie strącić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich na odłamie skały, stawała przede mną, teraz zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historję: cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce nawet przez ojca własnego raniona.

Dawniej jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilij wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedji wniknęło — zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wyspowiadał usiądź na ułomku jakiej dawnej ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru, i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy — usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamyślona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka, a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej, większym blaskiem odzianą

[1]) Grobowiec Julji nie istnial. Napis ułożył dopiero w w. XVI niejaki Merula. Słowacki znalazł ten napis w przypiskach do III pieśni »Wędrówek Child Harolda«.

i piękniejszą sto razy, i niech ta postać do nas obojga należy, niech będzie jako łańcuch, łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie. — A tych dwóch wodzów! czy ty myślisz, Irydjonie, że, tworząc ów mit jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją — że kiedyś — i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie [1]).

Paryż, dnia 2 kwietnia 1840 r.

[1]) W wierszu do Krasińskiego, pisanym w grudniu r. 1838, zwie go Słowacki »Archaniołem wiary« i określa jego wpływ na siebie słowami: »Daleś mi serce«. Wiersz ten uzupełnia niejako ten obraz poetyczny stosunku do twórcy »Irydjona«, jaki nam tu kreśli poeta.

OSOBY:

Lech
Gwinona, żona Lecha.
Lechon, Krak, Arfon, synowie Lecha.
Derwid, król Wenedów.
Lilla Weneda, Roza Weneda, córki Derwida.
Polelum, Lelum, synowie Derwida.
Sygoń, Gryf, Lechici.
Święty Gwalbert.
Ślaz, jego sługa.

Dwunastu harfiarzy. Dwunastu wodzów, Wenedzi. Orszak dziewic Gwinony. Rycerze Lechici. Z czasów bajecznych. Blisko Gopła.

PROLOG.

Obszerna grota Wróżki, wykopana w ziemi; w ścianach okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz — światło zachodzącego słońca.

Roza Weneda i Lilla Weneda.

Lilla W. O! siostro moja, jak ty zadumana!
Idź, spójrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo.
Roza W. Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki,
Widzę umarłą...
I ty umarła... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię, a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj — na tamten świat — o! nieszczęśliwa!
Lilla W. Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nade mną biedną.
Więc ja mam umrzeć — o! Boże!
Roza W. Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łoże
I Gopło zaczerwieniła:
Będziesz ty, jak płaczka, wyła
Nad sobą — gdy rycerze konają?

Słychać dźwięk harf.

O! cyt — harfy nasze grają.
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?
Harfiarze wchodzą na górę...
Wszystko stracone!

Lilla W. Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.
Roza W. Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posępny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?
Co? a szatański mój głos,
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie, dane przeze mnie szkieletom!
A mój smutek! a mój los!
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz! o! krasna.
Lilla W. Ty mówisz — lecz twoja twarz,
Jak księżyc, smutna, choć jasna,
Jak księżyc, umarłych słońce.
Gdzie nasi bracia obrońce?
Czy wiesz, co z nimi się stało?
Roza W. Wnętrze groty zajęczało,
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpalę.

Wchodzi dwunastu starców ze złotemi harfami.

Proszę was, przy ciemnej skale
Postawcie te harfy rzędem
I powiedzcie, co się stało z Wenedów ludem.
Lilla W. Czy mój ojciec i bracia moi jakby cudem
Wyrwali się od śmierci?
Harfiarz. Starce, z takim pędem
Szliśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera.
Lilla W. O! wy nie chcecie mówić.
Harfiarz. Niestety! Niestety!
Lilla W. O! bracia moi — O! mój drogi ojcze, gdzie ty?
Ci ludzie milczą — mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości.
Harfiarz. Jak żądasz,
Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?...
Lilla W. Starcze! Ty na mnie, starcze, tak spoglądasz,
Jak na sierotę.
Harfiarz. Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o! biada nam! biada!
Twój ojciec wzięty — rycerzy gromada
Otoczyła go z harfą jego złotą.
Widzieliśmy to i bladzi zgryzotą
Rwaliśmy włosy. — Bracia twoi wzięci.
Lilla W. Więc nie umarli? — o! mówcie mi jeszcze!
Więc nie umarli?...
Roza W. Nie — ale przeklęci!

Lilla W. O! nie mów tego! o! nie mów przez litość!
Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O! pobłogosław ty mi, siostro moja!
Ty smutna byłaś mi wesołej matką.
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie,
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach;
O! bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie;
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały, jak ja, swą mnie siostrą mniema,
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżej lata [1]):
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny.

Wychodzi.

Roza W. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.
Cóż wy myślicie, harfiarze?

Harfiarze. Wszystko stracone!

Roza W. Na jad węża, co w tej czarze
Karmi płomienie czerwone [2]):
Zaklinam się wam, o starzy!
Że kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy.

Harfiarze. Wstaną i zginą raz drugi...

Roza W. I trzeci raz jeszcze zginą,
I przejdą po nich zapomnienia pługi,
I stokrocie się rozwiną
Na krwawym umarłych stepie;
I cóż! — czy płakać?!

Harfiarz. Słuchaj! tam wrony zaczynają krakać,
I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
Ciała rycerzy.

Roza W. Za trzy dni sto piorunów uderzy.
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.

---

[1]) Ponieważ Lilla jest już chrześcijanką, ochrzczoną przez św. Gwalberta, przeto więc, w postaci tego opiekuna, w niebiosach przebywającego, domyślać się należy Chrystusa, a może tylko Anioła Stróża.

[2]) Karmi płomienie t. j.: pali się.

Żywi się pomieszają z umarłemi,
I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.

Harfiarz. O! cud! Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.

Roza W. Te harfy uczuły krew
I drżą...

Harfiarz. O! chodźmy tą pieśnią, jak skrą,
Ożywić ludy po siołach.

Roza W. Dębowe wieńce na czołach,
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy [1]);
To są harfiarze! to wy!

Harfiarz. Wlałaś nam ogień do łez...

Roza W. Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres,
Walka i zgon!

Harfiarze. Nasze harfy tobie w ton
Odgrały smutnie.

Roza W. Uciszcie wy rękami rozpłakane lutnie.
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła,
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu:
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!

Harfiarz. Więc za trzy dni noc płomieni?...

Roza W. I noc okropności mściwa,
I wiek haraczu... [2])
Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.
Wódz dwie głowy mieć będzie, jedna człowiecza,
Drugą głowę trupią wódz mieć będzie.
Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią:
I zakocham się w rycerzy popiołach,
I popioły mię zaplodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,

---

[1]) Bohaterów narodu pobudzają do wielkich czynów poeci (harfiarze), opiewający cierpienia i powołania ludów.

[2]) Wiek haraczu tyle co: wiek niewoli, okupu.

A łożem ślubnem będzie stos rycerzy.
Kto konając, we mnie uwierzy,
Skona spokojny:
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga... [1])

Harfiarz. Idźmy: wróżkę szał porywa.

Wychodzą.

Roza W. O! wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce. Lecz noc już — już ciemno!
Chodźmy umarłych palić... Duchy! ze mną.

Wychodzi.

AKT I.

SCENA I.

Pole nad Gopłem. **Lech, Gwinona, Sygoń, Gryf,** *wchodzą zbrojni.*

Lech. Zapalić ognie na pobojowisku,
I tu mi wzięte przyprowadzić jeńce.

Wchodzą: Derwid z harfą złotą w ręku, Lelum i Polelum w łańcuchach.

Sygoń. Z ręki mu złotej harfy nie wydarto.
Jest to Wenedów król z dwoma synami.

Lech Cóż myślisz, starcze, o ludach zacho-
Wczoraj ty byłeś panem tej krainy, [dnich [2])?
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj temi ludy.
Szaty na sobie teraz porozdzieraj,
Okup się, starcze, łzy brylantowemi,
Bo ci czekanem [3]) łeb rozstrzaskam siwy.

[1]) Myślą tej przepowiedni jest, że poświęcenie dających życie w walce za słuszną sprawę, choć przegraną na razie, zapładnia dusze następnych pokoleń i uzdalnia je do odwetu i triumfu duchowego.

[2]) Mowa tu o Lechitach, przybyłych jako zdobywcy do siedzib nadgoplańskich Wenedów.

[3]) Czekan, rodzaj obucha, dawna broń.

Do Lelum i Polelum.

Cóż to szczękacie, jak psy, łańcuchami?
Cóż to? niedźwiedzie, uczcie się pokory!
Gdzie mój kat? — Ten mi człowiek plunął w oczy.
Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie.
Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły.
Ja komar, i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w ręku, jak cytrynę.
Jak się Czech dowie, to nie będzie wierzył.
Poślę mu tego starca w podarunku,
I tych dwu młodych poślę królewiczów,
Niechaj porobi z nich obudwu psiarzy.

Gwinona. Ja chcę usłyszeć ich głos. Każ, niech mówią.

Lech. Psy — łatwiej zmusić ich, aby jęczeli.

Gwinona. Ta harfa musi być zaczarowana.

Lech. Na Boga! prawdę mówisz, moja lwico,
Ta harfa musi być zaczarowana. —
Stary! czy w harfie twojej siedzi djabel,
Że tak o nią dbasz?... Na Boga! to mruki!
My tu przed nimi, jak na nitce wróble,
A oni patrzą z góry, jak na frygi [1]).
Gryfie, odprowadź ich do Rzymskiej wieży [2]);
Jak się wygłodzą, to głos odzyskają.

Derwid, Lelum, Polelum wychodzą pod strażą.

To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono.
I głuchoniemy król. — Na koń! hej na koń!
Ufundujemy na trupach królestwo.

Wychodzą wszyscy.

[1]) Zabawka dziecinna, krążek na nóżce, dający się wprawić w szybki ruch obrotowy.

[2]) Rzymska wieża jest to t. zw. Mysza wieża pod Kruszwicą, starożytna strażnica, której początek poeta przypisuje Rzymianom. Panowanie ich nie sięgało przecie tych stron.

SCENA II.

Cela pustelnika, podobna kształtem do wnętrza czaszki olbrzymiej. W głębi obraz N. Panny na dnie złotem.

Święty Gwalbert i Ślaz [1]).

Gwalbert. Splamiłeś moje oczy, mości Ślazie,
Wlazłem za twoją poradą na sosnę —
Splamiłeś moje oczy krwi widokiem.
To sprawa djabła. Przybyłem nawracać,
A jacyś ludzie przybyli wycinać:
Wycięli prędzej, niż ja nawróciłem;
Za to się trzeba aż do krwi biczować:
Mnie, jako panu, tobie, jako słudze,
A obu jako sługom Pana Boga.
Ślaz. *Et fit voluntas tua.*
Gwalbert. Tak, tak, Ślazie,
Et fit voluntas Tego, co na niebie.
A jednak szkoda, że ten lud wycięto,
Bo lud był dobry, choć nie chrześcijański.
Ślaz. *Domine,* wszyscy więc poszli do piekła?
Gwalbert. Ziemia przed krzyżem krwią czerwoną ściekła,
Z tej krwi wybuchnie płomień w kształcie krzyża.
Śmierć kruszy ciała, lecz wieczność przybliża.
Narody będą wkrótce odkupione;
Widziałeś, Ślazie, komety czerwone
Z długiemi chwosty [2]) — co tu wróżą zmianę,
Komety, co, jak wiedźmy rozczochrane,
Goniły za mną aż do Jeruzalem,
Grożąc mi chłostą, krzyżem albo palem.
Cóż mi zrobiły?! — Kiedy będzie trzeba,
Te straszne gwiazdy palcem zetrę z nieba.
Bóg swemu słudze za wiek długi trudów
Przerażających da godzinę cudów.
Cóż mi ten mocarz, co tu krwawi lasy?
Nowy Faraon: wejdę z nim w zapasy,
Złamię i różdżką ognistą otrupię;
A potem jedną łzą gorącą kupię
Żywot dla niego wieczny i zbawienie [3]).

---

[1]) Celę taką, jako pamiątkę po św. Gwalbercie, oglądał poeta r. 1837 w Wallombrozie we Włoszech, w klasztorze, założonym przez tegoż świętego w w. XI.

[2]) Chwost rus., ogon.

[3]) Ten mistyczny heroizm, tak sprzeczny z dobrodusznością Gwalberta, jest odbiciem rozwijającego się u poety, od czasu podróży wschodniej, nastroju, który pod wpływem Towianizmu niezadługo owładnie całkiem jego duszą. Pochodzące z tego czasu fragmenty »Złotej Czaszki« odbijają też ten nastrój. Słowa Gwalberta, że promienista aureola, otaczająca jego głowę, pochodzi: »z mojej wewnętrznej wiedzy i z anioła, co w ciele mojem pali się tajemnie«, wyrażają zapewne myśl poety o sobie.

Ślaz. *Domine,* z czego, proszę, są promienie,
Które ty nosisz na głowie?
Gwalbert. Są ze mnie,
Z mojej wewnętrznej wiedzy i z anioła,
Co w ciele mojem pali się tajemnie.
Ślaz. Myślałem, że te płomieniste koła
Są z włosów?
Gwalbert. *Ergo* nie byłyby z duszy?
Ślaz. *Domine,* a koń, kiedy się napuszy,
To mu tak iskry z włosów wylatują.
Gwalbert. Są ludzie głupi, jak ty, co się trują
Porównywaniem dwóch natur w stworzeniu.
Ślaz. *Domine,* wiara jest w mojem wątpieniu.
Gwalbert. Wątpienie z djabła jest.
Ślaz. Więc mnie on szuka.
Gwalbert. Obacz-no, Ślazie, ktoś do chaty stuka.

Ślaz otwiera. Wchodzi Lilla Weneda.

Lilla W. W imię Maryji!
Gwalbert. Patrzcie! to królewna,
To neofitka moja. — Cóż tak rzewna?
Cóż tak spłakana? Córko, czemuś drżąca?
Lilla W. Przyszłam do ciebie, mój ojcze, płacząca.
Mój ojciec, bracia moi są w niewoli,
Chcę ich ratować, lecz mię serce boli,
A nie podaje żadnej mądrej rady.
Świat cały teraz dla mnie smutny, blady,
Za łez strumieniem nie widać mi słońca;
Ty mój poradnik jedyny, obrońca.
Nieszczęśliwego ojca mam w niewoli,
Braci w kajdanach.
Gwalbert. Cóż ja ci poradzę?
Lilla W. Już w ostatecznej się widzę niedoli.
Powiedz, o! powiedz, czy ten Lech ma władzę
Ojca mojego zabić?
Gwalbert. To człek srogi.
Lilla W. Powiedzże, czem są twoje wielkie bogi,
Jeśli nie mogą mi dopomóc biednej?

Gwalbert. Bluźnisz, dzieweczko, Bóg w osobie jednej.
Lilla W. O! ja wiem! ja wiem! tyś mnie uczył długo,
Nie zapomniałam wcale twej nauki;
Lecz teraz naucz, jak ocalić ojca.
Gwalbert. Gotowaś jest ślub czystości uczynić?
Lilla W. Mój ojcze, jeśli tem ojca wybawię,
Ja będę czystą, jak marcowe śniegi,
Jak po moczarach białe konwalije,
Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają
I brudnej ziemi nie widzą i giną.
Dosyć mi będzie, że mi starzec siwy
Pobłogosławi i obleje łzami.
Gwalbert. Zrób więc intencję przed obrazem Matki
Boga, na krzyżu — ukrzyżowanego.
Zrób jej ofiarę z dziewiczego serca.
Lilla W. Jakże mam mówić? — O! niebios Królowo!
Oddaj mi ojca, a ja Ci dam siebie,
Jako białego gołębia bez plamki,
I nic nie będę więcej pożądała,
I nic mię nigdy na świecie nie splami.
Gwalbert. Teraz, dzieweczko, ona będzie z nami. —
Ślaz! daj mi kostur. — Gdzież obozem leży
Ten Lech?
Lilla W. On, ojcze, mieszka w Rzymskiej wieży.
Gwalbert. Na stare nogi droga niedaleka.

Święty Gwalbert i Lilla Weneda wychodzą.

Ślaz sam. Djabeł mi każe służyć u człowieka,
Co mię suchemi korzonkami głodzi.
Wychudłem, jak szczep....[1]). Człowiek się raz rodzi—
Pamiętaj o tem dobrze, mości Ślazie,
Żeś się urodził — i raz więc umiera —
Pamiętaj dobrze na to, mości Ślazie,
Że raz umiera i że się raz rodzi.
Ergo[2]) — ponieważ się już urodziłeś,
Więcże korzystaj z tego, mości Ślazie.
Ergo więc, nogi za pas i w świat jasny!
A zrób intencję z czystości. — A naco?
Czy masz w niewoli ojca, panie Ślazie?
A jak się w tobie zakocha królewna,
A ty w czystości, jak w błocie, po uszy! —
Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego
I z tego zrobić votum Panu Bogu,
Aby mi trochę sprzyjał na początek. —

---

[1]) Zam. jak szczapa.
[2]) *Ergo* łac. znaczy: a więc.

Naprzykład — zróbmy votum z przywiązania
Do mego pana — ot i lżej na sercu...
A teraz niech tę celę biorą djabli!
Już niepotrzebna mi — niechaj się pali.

Podkłada ogień pod ściany... i z zapalającej się celi wychodzi.

SCENA III.

Sala w Rzymskiej wieży. — **Lech** i **Gwinona** *wchodzą.*

Lech. Cóż robić z tymi ludźmi żelaznymi?
Ulec mi nie chcą. — Cóż robić, Gwinono?
Gwinona. Rada jest moja zbyć się ich na zawsze.
Lech. Co? pozabijać?
Gwinona. Znów się wzdrygasz, mężu,
I w czynach boisz się ostateczności.
Dwa razy przez tę naturę kobiecą
Straciłeś kraje, już podbite prawie;
Rycerzy ledwo ci zostaje garstka:
Ty zawsze ufasz w szczęście i fortunę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwa, a nie myślisz o tem,
Że mamy dzieci, które pójdą z torbą
I miecz ojcowski przedadzą za szeląg,
Jeśli ich w życiu nie postanowimy
Na dobrze, stale zbudowanym tronie.
Lech. To wszystko prawda.
Gwinona. Patrz na brata Czecha,
Jemu się także ty oszukać dałeś,
To też postąpił z tobą, jak z dzieciną,
Sam zabrał kraje, we dwóch pokonane,
A ciebie wysłał aż w północne lody.
Cóż, moja Irygo z rozpalonej stali,
Kto cię pokręci, choć dłoń sobie sparzy,
Kontent, bo ty się kręcisz zato długo.
Lech. Widzę to czasem, że mnie oszukują.
Gwinona. Kto z boku patrzy, ten to widzi zawsze.
Lech. Cóż ty ze starym zamyślasz Derwidem?
Gwinona. Co? — Zdaj to na mnie, sam idź do sokołów!
Ty dobry w boju i na polowaniu:
Ale gdy trzeba robić to, co nudzi,
To się ty wzdrygasz. — Ty masz lwią naturę;
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.
Lech. Ja to do siebie znam.

Gwinona. Cóż, mój tygrysie!
Dajże na moją już odpowiedzialność
Tych jeńców — jeśli zrobię źle, wyłajesz.
Lech daje znak, że zezwala, i wychodzi.
Gryf... przyprowadzić mi tutaj Derwida.
Derwid wchodzi jako więzień z harfą w ręku. — Gryf.
Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto.
Wy się boicie wszyscy tego starca.
Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. — Derwid podnosi harfę, jakby ją chciał uderzyć.
Derwid. Precz!
Gwinona. O! widzicie! on mię chciał uderzyć.
Nie zabijajcie go — ja z nim pomówię.
Człowieku! chcesz ty mnie nauczyć czarów?
Słyszałam, że ty masz w tej harfie ducha,
Który zgaduje przyszłość; czy to prawda?
Derwid. Mam w harfie ducha, co zgaduje przyszłość.
Gwinona. Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę.
Derwid. Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie.
Gwinona. A jak ty umrzesz?
Derwid. Do nieba uleci.
Gwinona. Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.
Ja tego ducha widzieć chcę. Rycerze,
Przynieście jemu pić, niech się ożywi.
Do Derwida.
Ty mi wywołasz z harfy tego ducha,
Inaczej — klnę się na Hekate i trzy
Starki [1]), co w piekle krwawemi nożami
Nić przecinają ludzkiego żywota,
Że zginiesz.
Derwid. Nigdy! o! nigdy, piekielna!
Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,
Nigdy ta ręka, od łańcuchów sina,
Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy
Łez nie wyleją, póki te łzy moje
Mogą posłużyć wam na wywołanie
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu.
O! nie — nigdy wy z króla niewolnika
Nie uczynicie służalca harfiarza.
Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze,
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne,
I wścieklizną swą ducha ojczystego

[1]) Hekate, bogini piekieł; »trzy starki« są to Parki, przędące i przecinające nić życia.

Dawała mieczom ząb, co gryzł wam kości
I truł wam rany, nie zabrzmi w niewoli.
Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić
W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze
I wasze trupie twarze rozczerwienić.
Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić.
O! spróbuj — połóż twe palce na strunach,
Czy wywołają z nich co więcej niż dźwięk
Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
Gdy na mem sercu położysz twe szpony,
Poddam się palcom, targającym żyły,
I z mego jęku zrobię pieśń? — O! jędzo!
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój — co, jak jeden człowiek —
O! nie, jak jeden trup, leżał na polu,
Myślisz — że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?
Spróbuj, czy ze mnie co więcej wyciśniesz
Nad krew — co będzie przeciw tobie świadczyć
Przed memi ludy. — Nie, ja nie mam ludu! —
Lecz po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz [1]).
Weźże krew moją do twej gotowalni,
Czarna kobieto, i co dnia jagody
Czerwień krwią moją, aby cię mąż kochał
I nie zobaczył, że masz krew zieloną.
Gwinona. Skończyłeś, starcze?
Derwid. Nie jeszcze! nie jeszcze!
Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
Która mym słowom da moc zabijania.
I ciebie mi tu da za niewolnicę,
I z twego trupa mnie pokonanemu
Tron nowy zrobi. Stój tu! ja ci łono
Osuszę, piersi napełnię popiołem,
W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
Była kobietą — gorzej niż to wszystko,
Bobym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście —
Ale ty jesteś nie z tych, które płaczą.

[1]) Poeta czuje się sam ostatnim harfiarzem wenedyjskim, silnym tą mocą, która »zostaje po narodach już wymordowanych«, i przez usta Derwida broni dostojności harfiarza-poety. Cała siła pokonanych Wenedów w potędze ducha, przelewanej w dźwięki harf.

Ciebie zabijać trzeba przekleństwami
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażeby piekło całe było w tobie.

Gwinona. Ten starzec śmierci chce. Wydrzeć mu oczy!

Derwid. Czekaj! niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
Temi oczyma, co będą wydarte.

Gwinona. Precz z nim!

Derwid. Przez oczy moje wyłupione
Niechaj na ciebie patrzy Bóg [1]).

Żołnierze wyprowadzają Derwida.

Gwinona. To dziwnie.
Te oczy siwe ze srebrnemi rzęsy
Serce mi do krwi ugryzły. — Mój Gryfie,
Zawołaj mi tu Kraka i Arfona,
Niech się z tą złotą harfą przyjdą bawić.
A najmłodszemu Gwinonkowi zanieść
Oczy wydarte, niech z niemi poigra.

Wchodzi Święty Gwalbert. — Lilla Weneda.

Gwalbert. Czy tu znajome jest Chrystusa imię?

Gwinona. Cóż to za człowiek? czemu tu wpuszczony?

Gwalbert. Straż twoja, cudem pokonana, drzemie.

Gwinona. Ty, jak Hekate, masz księżyc czerwony
Na siwych włosach. — Co to jest za człowiek?

Gwalbert. Ja ciemne chmury zdzieram z ludzkich powiek
I światło niosę dla duszy słoneczne,
Ja ludziom biednym daję życie wieczne.
Ktokolwiek jesteś, schyl przede mną głowę.

Gwinona. Jakiś czarownik.

Lilla W. *do św. Gwalberta.* O! panie, mów za mną.

Gwalbert. Przyszedłem tutaj w imię Boga mego
O pognębionych ludzi się upomnieć.
Oto jest córka króla tej krainy,
Która ma braci i ojca w niewoli
I przyszła prosić za nimi.

Lilla W. O pani!
Ja przyszłam prosić za ojcem i braćmi.
Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna.
Ja przyszłam twoje nogi rosić łzami,
Ja będę za to twoją sługą; będę
Płótno twe bielić, twoje krowy doić,
Twe szpaki takich nauczę wyrazów,
Że w dzień i w nocy będą dziękowały

---

[1]) Niech Bóg osądzi twój czyn i pomści mą krzywdę.

Za moich braci, za mojego ojca.
Ja z moich oczu ci zrobię zwierciadła,
W których się będziesz ty widziała piękną,
Wesołą, dobrą i pełną litości
I, sama siebie widząc, będziesz kochać;
A ja cię więcej jeszcze będę kochać,
Niż się ty możesz kochać sama siebie.

Gwinona. Za późno przyszłaś.

Lilla W. O! nie mów! o! nie mów!
Ja tu leciałam, jak gołąb do dzieci.
I gdyby nie ten stary człowiek, pani,
Jużbym tu była dawno zawieszona
Na szyi mego ojca. — Gdzie mój ojciec?

Derwid wchodzi z wyłupionemi oczyma i podnosi ręce nad Lillą Wenedą.

Derwid Puśćcie mnie! krwią chcę ją widzieć i mózgiem.
Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę —
O bądź przeklęta!

Lilla W. Ojcze, to ja, ojcze.

Derwid. Co? — to głos mojej córki, o! niebiosa!
Ja córki mojej nie widzę.

Lilla W. Mój ojcze,
Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
Czy ty zupełnie mnie nie widzisz, ojcze?
Poczekaj, krew ci obetrę włosami
I nigdy moich włosów nie obmyję;
Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone
I w tej koszuli okropnej uklęknę
Skarżyć się Bogu. Ojcze nieszczęśliwy!
O! srodzy ludzie! o! ludzie okrutni!
Pani! ty jesteś niewinna? co? — prawda?
Tego nie mogła uczynić kobieta?
Ty sama teraz cierpisz! — o! na Boga!
Dajże mi teraz, pani, tego starca!
Wszakże ty widzisz, że on nie ma oczu,
Tylko te biedne moje dwie źrenice,
Które łez pełne. O! dajże mi teraz
Mego ślepego ojca.

Derwid. Mój słowiku,
Cicho bądź! jędzy tej nie ruszaj!
Do Gwinony. A ty,
Wściekła kobieto! jeśli cię ten widok
Ślepego starca i córki, co widzi
Czerwone ojca swego oślepienie,
Dręczy; jeśli cię dręczy ta męczarnia? —
A musi dręczyć — bo cóż ty zdobyłaś
Tem okrucieństwem, prócz kilku perełek,

Co z oczu mojej córki upadają,
I kilku tych łez okropnych, co ciekną
Z mej próżnej czaszki — więc jeśli cię dręczy
Ta niemoc twoja, ta bezsilność twoja —
Spróbuj, czy moja cię śmierć nie uleczy
I tygrysiego serca nie nakarmi.

Gwinona. Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

Lilla W. Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiej władzy:
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
Wymyśl trzy razy śmierć najokrutniejszą —
Trzy razy wszystko wymyślisz napróżno.

Do Św. Gwalberta.

Nie prawdaż, starcze, że matka Chrystusa
Będzie mnie bronić razem z aniołami
I da zwycięstwo nad tą dumną, krwawą:
Trzy razy będę ojca zbawicielką,
A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna
Przeciw rozpaczy mojej ostatecznej.

Gwinona. Dziwne wyzwanie! słyszeliście wszyscy:
Ta mnie dziewczyna wyzywa. — Już miałam
Oddać ci ojca, bo ten łachman stary
Stał mi się wcale niepotrzebny: teraz
O niego będą toczyć się turnieje.
Gryfie, weź starca, za włos jego siwy
Uwieś na drzewie, niech słońce go pali
I dziobią kruki; dla większej męczarni,
Niech końcem stopy ziemi się dotyka.

Lilla W. Gdzie król? ja pójdę do króla ze skargą.

Gwinona. Idź.

Gwalbert. Klątwa Boga na tym krwawym domie.

Wychodzą.

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

Oczy wydarto staremu królowi,
Pęka się córki bursztynowe serce,
A w naszą starą kość strach idzie mrowi;
Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasze!
Zwątpił o sobie lud! harfiarze płaczą!...
Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy
Czasze, nalane krwią, serca rozpaczą, [w czasze[1]),

[1]) Czaszki, t. j. mózgi, zalane krwią, sparaliżowane niejako przez rozpacz, lecz serca przepełnia boleść i krzyk protestu, wołanie do Boga o zemstę.

Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy drżąc na piorun z chmur —
A kiedy milczy niebo — śpiewa chór —
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

AKT II.

SCENA I.

Pobojowisko, noc. **Roza Weneda** *w głębi, pali kości rycerzy*[1]) *i śpiewa.* **Ślaz** *wchodzi.*

Ślaz. Dalibóg! trupów tu, jak maku: głupcy!
Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
Dlaczego teraz się nie mogą ruszyć,
Jeden odpowie: brak mi kawałeczek
Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
W mym pacierzowym ogonie; i każdy
Miałby wymówkę — ze mną tak nie będzie.
Nie, ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
Będzie, jak Bóg chce i jak chce pan Gwalbert. —
Cóż to za wiedźma przed stosem z płomieni,
Trupich piszczeli ogniem oświecona?

Roza W. Czar się nie robi — tu jest człowiek żywy.

Ślaz. Jezu Maryja! gotowa mnie zabić.

Roza W. Wężu, kto jesteś?

Ślaz. Umarły ze strachu.

Roza W. Gdzie idziesz?

Ślaz. Wszędzie, gdzie każesz Waćpani.

Roza W. Ja wiem, czem jesteś... ty będziesz zabójcą.
Mam tutaj sztylet.

Ślaz. Jakaś waryjatka!

Roza W. Przed tobą płynie krwi bolesnej rzeka,
Z tych trupów cieknie i płynie;

[1]) Palenie kości rycerzy poległych ma tu znaczenie tajemnicze, symboliczne poniekąd. Jest to ilustracja myśli, zawartej w znanym wierszu Wirgiljusza »Exoriare aliquis ex ossibus nostris ultor« (Niech powstanie z prochów naszych kiedyś mściciel). Myśl tę wypowiedziała już w końcu prologu Roza Weneda, zapowiadając, iż »popioły ją zaplodnią«.

Za tą wodą dom człowieka,
Ten człowiek zginie;
Życie jest jego dla mnie, jak psa życie.
Ty go zabić powinien.

Ślaz. Ja?

Roza. W. O świcie
Go zabijesz, idziesz po to.
Słuchaj! jesteś złodziejem...

Ślaz. Ja?

Roza W. I złotą
Harfę ukradniesz mego ojca.

Ślaz. Pięknie!

Roza W. I słuchaj, jeśli z bolu harfa jęknie,
Jeżeli jęknie ojcu mojemu kradziona:
Ty ją utulisz w płaczu, jak dziecko — i skona
Ojciec mój — ale harfa zwycięży narody!
Pamiętaj!

Ślaz. Dobrze.

Roza W. Lub z glazem do wody
Rzuć się i toń — bo serce ci wydrę i oczy.

Oddala się w głąb do płomieni.

Ślaz. Rozumiem, ukraść harfę i zabić człowieka.
A to mi wcale piękna awantura!
Wylazła z trupów i z płomieni mara
I mówi do mnie: Ślazie, jesteś zbójcą —
Dziękuję pani, że tak dobrze trzymasz
O mojej cnocie. — A do mnie ta znowu:
Mój mości Ślazie, waść jesteś złodziejem —
Chciałem ją za to w pysk, a ona w ogień,
Jak salamandra[1]); szukajże z nią ładu!
Gdyby przynajmniej była powiedziała,
Czy mnie powieszą, jak będę złodziejem?...
Co teraz robić? Widzę tam na górze
W złocistej zbroi nieboszczyka — pójdę,
Obedrę zbroję i na siebie włożę,
Może cokolwiek znajdę w niej odwagi.

Wychodzi.

Roza W. *śpiewa.* Trzaska w płomieniach kość,
W czaszkach się warzy mózg,
Tu kwiatów będzie dość
I lilijowych rózg.
Z kwiatami, o! z białemi kwiatami...
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

[1]) Wedle mylnego mniemania, salamandry (jaszczurki) mogły przebywać bezkarnie w płomieniach.

Ja palę trupy wciąż.
Tu mój kochanek był,
Do czaszki przylazł wąż,
I krew mu z oczu pił
I do czaszki wlazł krwawemi ustami.
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Oddala się — płomienie gasną.

Ślaz *wchodzi w zbroi — sam.* Otóż ubrany jestem, jak na święto.
Ta wiedźma wrzeszczy tu na całe gardło
A tu są ludzie, co chcą spać: naprzykład
Ten obywatel, co mi dał tę zbroję,
Chciał spać, musiałem dobić nieboraka.
Ergo ta wiedźma powiedziała prawdę;
Bo, jeśli dobić żyć nie mogącego
Znaczy to samo, co odebrać życie:
Więc ja zabiłem — nie — tylko dobiłem.
Gdzież w przykazaniach boskich: nie dobijaj?
A gdyby nawet było w przykazaniach,
To ja nie wierzę w boskie przykazania...
I tak... a jeszcze na moją obronę
Mógłbym przytoczyć, że mię ten nieboszczyk
Prosił, abym go zrobił nieboszczykiem...
Temi wyrazy: widzisz tu Salmona
Z połamanemi kośćiami — więc dobij!
Więc ja dobiłem go i rzecz skończona —
A teraz pójdę w tej zbroi do Lecha;
I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
Służyć u Lecha i zwać się szlachcicem[1]).

Wychodzi.

[1]) W epoce między r 1830 a 1840 powszechnie była przyjęta przez uczonych polskich i czeskich hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej od lechitów, lechów, których uważano bądź za odrębne plemię przybyłe z dalekich stron, bądź też jako odrębną warstwę społeczną. Przekonanie to dzielił i głosił Mickiewicz, zarówno w swej niedokończonej historji Polski, jak i w prelekcjach paryskich. Słowacki mógł dowiedzieć się o tem od Krasińskiego, gdyż w Szwajcarji i Włoszech nie mógł mieć dzieł historycznych polskich pod ręką.

SCENA II.

Sala w zamku Lecha. — **Lech i Sygoń.**

Lech. Więc ty widziałeś, jak mój Salmon zginął?
Opowiedz jego śmierć.
Sygoń. Kiedy się, Lechu,
Za ostatnimi Wenedy puściłeś
Na czarnym koniu, Salmon twój kochany,
Ujrzawszy wzgórze, na którem dwunastu
Stało Derwidów, z harfami złotemi,
Tak że z tych starców i z harf pagórkowi
Była korona, rzucił się z dobytym
Mieczem na owo wzgórze Salmon młody
I, nie znajdując żadnego oporu,
Króla Derwida wziął za siwą brodę
I ciągnął z tronu kamiennego gwałtem:
Gdy oto nagle harf złotych dwanaście,
Jako dwanaście siekier podniesionych,
Na hełm Salmona spadło... a jam słyszał
Jęk tego hełmu i jęk harf dwunastu...
Przybiegłem — wzgórze całe było puste,
A na niem leżał cichy trup Salmona.
Lech. Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem za życie mojego rycerza.
Sygoń. Już się królowa zemściła na królu.
Lech. I cóż?
Sygoń. Kazała mu wyłupić oczy.
Lech. Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — zabić harfami rycerza!
Chciałbym ten kielich cały krwią napełnić...
Rycerz rozbity, jak garnek, nie bronią,
Ale harfami! — phu! — zgroza. Sygonie,
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę, zrąb mi głowę z karku.

Wchodzi Lilla Weneda.

Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?
Sygoń. Córka starego króla.
Lech. Tego starca,
Który mi zabił Salmona?
Sygoń. Tak, panie.
Lech. Czegoż ode mnie ona chce?
Lilla W. Litości.
Lech. Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce; twój ojciec jest mi, jak wąż sprośny.
Młodocianego mi zabił rycerza.

Lilla W. Więc nie litośny bądź, lecz sprawiedliwy.
Ty ojcu memu zabiłeś tysiące
Młodych rycerzy i przyjaciół starych!
A żona twoja mu nie zostawiła
Oczu, by płakał nad swoją niedolą.
Wyście mu wszystko wydarli! ach, wszystko!
Nawet pociechę, którą ma płaczący
Przez ołzawione oczy widzieć niebo,
Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
Lub lice córki, co chce być wesołą
I twarz umila nadziei promieniem.
O! panie, wszystkoście mu już wydarli!
Wszystko, prócz serca córki nieszczęśliwej.
Idź, Lechu — obacz go — a będziesz płakał!
Idź, Lechu — on tam na twoim dziedzińcu,
Za siwe, święte włosy przywiązany —
Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec!
Idź, Lechu! obacz, co oni zrobili
Z moim nieszczęsnym ojcem — ty masz oczy:
Więc idź i obacz... a jeśli ty, Lechu,
Na taki widok nie będziesz litośnym,
To chyba jesteś, Lechu, nie człowiekiem.
Lech. Sygonie! moja Gwinona się biesi [1]),
Ona tu miarę przebrała.
Lilla W. O Panie!
Ona tam teraz przed wiszącym starcem
Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci,
Ojca mojego im nazywa królem,
A to maleństwo za matką świegoce:
Król, król, i w mego ojca oczy puste
Niegodziwemi rzuca kamyczkami.
O! idź ty, Lechu, i obacz tę zgrozę!
O! idź ty, Lechu, i skarz tę kobietę!
Ona ci psuje, Lechu, twoje dziatki;
Z tych dziatek będą potem królobójce,
Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem,
Tak, jak zwą dzisiaj ojca mego królem:
Król, król, jak kawki świegocą. O! Lechu,
Idź sam i obacz...
Lech. Wszak niema w tem grzechu,
Sygonie, mojej miłej podciąć skrzydeł...

Wychodzą.

Lilla W. On mi uwolni ojca z rąk straszydeł...

Wychodzi.

---

[1]) Biesi się = szaleje.

SCENA III.

Dziedziniec zamkowy. Na jednej z bocznych ścian widać cień przywiązanego Derwida do gałęzi dębu... Na przedzie sceny **Gwinona, Krak i Arfon.**

Gwinona, Krak i Arfon.

Krak. Mamo, ja nie chcę więcej tego starca
Bić kamykami. On się już nie rusza.
Gwinona. Krak, jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.
Krak. Nie, mój braciszek Arfon będzie babą,
A ja rycerzem sławnym, jak mój papa.
Gwinona. Chcesz być rycerzem? a kiedym kazała
Wziąć łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytałeś, jak psiątko: — Nie, mamo,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka. —
Wstydź się, czyżykiem jesteś, nie chłopakiem.
Krak. Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?
Gwinona. Co? nie pamiętasz już, Kraku, Salmona?
Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować... ten stary
Zabił Salmona, Salmon już nie wróci.
Krak. Ten stary zabił Salmona?
Gwinona. A widzisz?
Już rączki ściskasz w kułak, jużeś gniewny. —
Arfonie, daj łuk braciszkowi — daj mu.
On lepiej strzela, niż ty.
Arfon. Ja sam trafię.
Gwinona. Idź, baw się harfą, daj łuk braciszkowi.

Dając Krakowi łuk.

Na, i mierz w serce, w serce — wiesz, gdzie serce?
Krak. Wiem, mamo, bo mi teraz głośno puka.

Mierzy z łuku w stronę, gdzie się znajduje męczony Derwid... Wchodzi Lech, Sygoń i Lilla Weneda.

Lilla W. O! widzisz, panie, chcą mi zabić ojca.
Lech. Gwinona, każ mu spuścić łuk, na Boga!
Bo go tu zetnę szablą, jak makówkę.
Cóż to? czy ojciec jest tu u was niczem?
Spuść łuk! bo łebek ci ukręcę — spuść łuk!
Gwinona. Spuść łuk, mój Kraku, papa tobie każe. —
Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?
Lech. Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać,
Kiedy tu widzę moje własne dzieci,
Urągające z niedoli królewskiej,
Jedzące mięso, jak orlątka młode.

Cóż to? czy moje dzieci są chowane
Jak psy rzeźnika? — precz mi stąd, szczeniaki!

Dzieci odchodzą.

Gwinona, dosyć już tych okropności.
Każ tego starca odwiązać.
Gwinona. Ty panem,
Każ go odwiązać.
Lech. Cóż to? jużeś gniewna?
Gwinona. O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu [1]),
Abym tu była teraz niewolnicą
Twojego gniewu i niestałej żądzy.
Lepiej mi było morze rozhukane
Poślubić, albo wulkan płomienisty,
Lub zostać Niksów albo Farfadetów [2])
Małżonką: lepiej o! lepiej sto razy;
Niż teraz za mym ubogim rycerzem
Przez świat wędrować i znosić obelgi,
I nie być pewną dnia, że mąż mię kocha.
Bo jakże kocha mnie ten lew ryczący?
Serce mi ciągle gryząc albo głaszcząc
Dłonią żelazną — jakże mi pochlebia? —
Z rana pochlebia, a wieczorem karci.
Jakże mi wierną miłość wynagradza?
Co mi da z rana, odbierze wieczorem,
Tak, że ja nie wiem, żoną ja czy sługą
Jestem u niego? miłą mu czy gorzką?
Szlachetną w jego myśli albo podłą? —
O! jeśli tak ma być zawsze, o Lechu!
To mnie odegnaj i pójdę ja bosa
W te ciemne lasy wilkom i niedźwiedziom
Pochlebiać, łasić się, prosić o litość. —
Wstydzisz się; nic mi już nie odpowiadasz?
Bo ty szlachetny i wiesz, że mam słuszność.
Dzisiaj mi dałeś w moc tego Derwida;
Pierwszy raz rzekłam: on mi przecie ufa;
A teraz muszę znów wyjść z omamienia.
Chodźcie tu wszyscy! Patrzcie, jak Lech, rycerz,
Żonie danego dotrzymuje słowa.
Ja w słowie jego zaufana święcie,

---

[1]) Gwinona, urodzona na Islandji, jest normańskiego pochodzenia, stąd też normańskie imiona synów: Krak i Arfon.

[2]) Niksy i Farfadety, duchy przekorne, złośliwe, według wierzeń Germanów i Celtów.

Na jego słowo dałam moje słowo:
Teraz on swoje święte słowo łamie;
A ja się muszę oszkalować sama
I zaprzysiężeń moich nie dotrzymać...
Chodź tu, dziewczyno, wyzwałaś mnie dzisiaj
Na zakład, że trzy razy ojca twego
Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam,
Że twego ojca oddam ci, jeżeli
Trzy razy śmierci go wyrwiesz okropnej.
O! łatwo zakład ci wygrać z królową,
O której honor nie dba mąż i rycerz.
Ciesz się więc. — A ty, Lechu, tej dzieweczki
Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mnie!
Islandzką jestem królewną, pamiętaj!
Do obelg takich nie przyzwyczajona.

Chce odchodzić.

Lech. Stój.
Gwinona. Idę z wieży się rzucić.
Lech. Kobieto!
Gwinona. Jak mnie nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twej harfy złotej,
I starzec ci ten będzie o mej śmierci
Grał — albo wicher islandzki przyleci
Z ojczystej mojej ziemi i na strunach
Położy usta, przekleństwem wyjące.
Lech. Zanadto jesteś teraz rozżalona,
Mówić nie można z tobą. *Chce odchodzić.*
Lilla W. *zatrzymując go* O! mój panie.
Lech. Czego ode mnie chce ta wiedźma[1])? wszyscy
Przeciwko mnie są.
Lilla W. Więc mój ojciec skona?
Lech. Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy.
Niechaj rycerze go dokończą — i niech
Więcej nie słyszę o nim.
Lilla W. Ach! okrutny!
Słuchajże teraz mnie, straszny człowieku!
Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!
Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić
Zemsty łaknące serca, taki sposób,
Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,
Taką rzecz powiem, że wy struchlejecie

[1]) Wiedźma zapewne tu znaczy: wieszczka, widząca przyszłość. Słowacki użył tej formy pod wpływem »Odprawy posłów«, w której Priam zwie córkę swą Kassandrę: »przeciwna wiedźma«.

Na samą pierwszą myśl tej okropności.
Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec
Ma dzieci — dzieci te u was w niewoli,
Dwóch macie synów tego starca w rękach:
Otóż wybierzcie z nich którego losem,
Dajcie mu w ręce topór wyostrzony,
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca — co? czy pozwalacie?
Gwinona. Przywieść tu jeńców.
Lilla W. Lecz królu! lecz królu!
Jeżeli brat mój, rzuciwszy toporem,
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
O! patrzaj — ten włos, co tak przezroczysty,
Jak blady gwiazdy błękitnej ogonek
Pomiędzy drzewem a starego głową, —
Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni — czy przyrzekasz?
Lech. Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.
Lilla W. Oba?
Lech. Tak oba...
Lilla W. I mój ojciec?
Gwinona. Ojciec
Do mnie należy — zbaw go tak trzy razy,
A będzie wolnym.
Lilla W. Ach, czyliż nie dosyć
Raz tylko ojca tak zbawić, królowo!

Wchodzi Lelum i Polelum. Obaj łańcuchem złączeni tak, że prawa pierwszego ręka do lewej ręki Polelum przykuta.

Gwinona. Otóż są więźnie, mów, czy się podejmą?
Ty, siostra, srogi targ[1]) zrobiłaś za nich.
Lilla W. O! mówcie do nich wy — ja cała drżąca.
Lech. Jest wieść, że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topór na ojca i tak weń wymierzy,
Że wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.
Lilla W. Nie zechcą! Oni nie zechcą! — Polelum,
Jedyny to jest dla ojca ratunek.
Ojciec, na drzewie powieszony, skona!
Jeść mu nie dano ani pić — on skona!
On was nie widzi — wydarto mu oczy.
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę,
Nie będzie widział, że to syn tak rzucił.

[1]) Układ, umowa.

On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy.
Jeżeli umrze... o śmierć nielitośną
Swego własnego syna nie posądzi...
Polelum... topór weź. Ojciec nie widzi.
Weź tylko śmiało...

Polelum. Daj.

Lilla W. Ale go nie rań.

Polelum. I cóż mam robić?

Lech. Psie! ty godzisz we mnie.

Polelum. Mówisz, że trzeba godzić w mego ojca?

Lech. Zginiesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz.

Polelum rzuca topór na ziemię.

Lelum. Bracie, napróżno targasz się w łańcuchu.
Niewolnikami jesteśmy, Polelum.
Pomyśl — ty dobrze władasz tem żelazem.
Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił.
Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl,
Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...
Polelum! podnieś ten topór okropny.
Przykuty do mnie za twą lewą rękę,
Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej,
Ty cały jesteś moją ręką prawą;
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał. —
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą i nigdy,
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika.
Polelum! zemsty! — Ja skonam w więzieniu...
Mnie trzeba słońca... tobie zemsty trzeba.
Ach, bądź odważny.

Polelum. O! bogi piekielne!
Z jednej mi strony brat cierpiący kona —
Tam ojciec nędzny — tu mi dają topór —
Co robić!

Lilla W. O! mój Polelum! o bracie!
Zbawisz nas wszystkich.

Polelum. Daj topór. O! Boże! —
Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia —
Więc trzeba włosy te odciąć — te włosy —
Te siwe włosy? Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami ćmią. Okropnie!
Czy wy jesteście pewni, że mię ojciec
Nie widzi — tylko czy jesteście pewni?

Lilla W. On ma wydarte oczy.

Polelum. Przez błyśnięcie
Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli.
Ach, dosyć było taką rzecz wymyślić,
A starzecby sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzał na zabójcę syna.
O! do czegoż ty przyprowadzasz, Boże,
Człeka, co stracił ojczyznę! — O! patrzcie,
Ażeby teraz wyratować brata,
Muszę być ojca mego męczennikiem[1]).
Siostra mnie własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojej urągają.
O! przyjdź, godzino zemsty albo śmierci!

Gwinona. Cóż to? więc nie masz odwagi?

Polelum. Bezczelna!
Ja się odwagi mojej własnej boję. —
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucać topór.
O tem ciśnięciu straszliwem Weneda
Będzie wam śnić się...

Prowadzą skutych razem braci na metę rzutu. —

Zasłona spada.

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

Niestety! Niestety!
Gdzie sprawiedliwość boska? gdzie pioruny?
Syn na własnego ojca topór rzuca,
Niebo się całe ćmi krwawemi łuny,
Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca
Piorunów deszcz okropny — świat się wzdryga!
Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
Topór, co w drżącej ręce syna miga:
O! synu, serce twe z boleści pęknie,
O! córko, ojca twego krew cię splami!
O! biada wam! o! biada, niewolnicy!
Miesza się wasza krew z waszemi łzami.
Serca! dajcie krew pod dziób orlicy,
Ona wyściela gniazdo waszemi włosami.
O! niewolnicy!
Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!

[1]) Wyraz ten znaczy tu tyle co: męczyciel, kat.

AKT III.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha. **Lech** i **Sygoń.**

Lech. Poznałeś teraz Wenedów, Sygonie?
Wiesz, jak ciskają od oka toporem?
W uszach mi dzwoni okropne żelazo;
Ażem był jęknął, trwogą zadławiony,
Gdy nad Derwida głową zobaczyłem
Drzazgi z żelaza rozsypane skrami.
Jużem się lękał, że w topora jęku
Zarąbanego starca jęk usłyszę:
Lecz nie, wyciągnął ręce i od drzewa
Jak widmo, z włosem równo odrąbanym
Odstał; krwawemi łzami zapłakany,
Z obliczem pełnem boskiego uśmiechu...
Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
Nasze mogiły. — Czy wiesz co? Sygonie,
Stań mi pod drzewem, stań mi tak na celu;
Niechaj na twoich włosach zaprobuję
Oka i miecza!
Sygoń. Lechu, jestem łysy.
Lech. Ty łysy, prawda, to sęk! — lecz ja muszę
Niedźwiedziom wydrzeć sławę pozyskaną;
Dziś spać nie mogłem; a kiedy nad rankiem
Zamknąłem oczy, to widmo Salmona
Jawiło mi się i mówiło do mnie
Samemi tylko urągowiskami.

Słychać trąbkę rycerską.

Cóż to? czy słyszysz? słyszysz róg Salmona?
To Salmon trąbi przed zamkową bramą.
Jakże? — mówiłeś mi, że Salmon zginął?
Sygoń. Kluę się na Boga, żem go widział trupem.
Lech. Ale to Salmon, patrz! stoi przed bramą.
Sygoń. Ten mi się rycerz zdaje trochę chudszy.
Lech. Stare masz oczy — nie poznajesz zbroi?
To Salmon — o! mój Salmon! — Chodź, to Salmon!

Wychodzą.

SCENA II.

Sala taż sama.

Gwinona *wchodzi.* Co słyszę? Salmon zatrąbił. — O! Boże!
Gdy ja tortury straszne wymyślałam,
Aby się pomścić za niego — on żyje.
Także to pewna, że serce przywyka
Do konieczności, choć najokropniejszej,
I z jakiejkolwiekbądź rozpaczy nie chce
Powracać w przeszłą radość i z trupami
Powróconemi znów się zapoznawać?
Także to pewna, że osierocone
Przez zmarłych miejsca, gdy raz już są puste,
Muszą pozostać tak, dla niezmienienia
Naszych nadziei, które, jak pająki,
Wnet zarabiają sieć, gdzie los przeleciał,
By w niej nie widzieć pustki i rozdarcia?...
Zaczęłam się mścić za niego — on wraca.
Zemsta bez celu jest i bez przyczyny —
A już jest rzeczą zaczętą. Więc znowu
Do mego serca miłości nieczystej
Wraca gorący wąż na dawne miejsce [1])
I na wystygłe miejsce znów powraca.
Trzeba więc wszystko rozpocząć na nowo
I nigdy nie być pewną końca, nigdy!

Lech, Ślaz w zbroi, wniesiony na rękach rycerzy. Sygoń.

Sygoń. Salmon! niech żyje Salmon!
Lech. O! Gwinona!
Witajże ty go — przenieście puhary...
Kto dziś nie pije, z tym ja dojdę ładu. —
Jakżeś, Salmonie mój, uniknął śmierci?
Ślaz. Zaraz opowiem, tylko mnie postawcie
Na moje nogi, na me własne nogi.
Tak, jestem Salmon, Salmon bez wątpienia,
Zaczarowany Salmon, lepszy Salmon,

[1]) Słowa te wskazują, iż miłość tajemna dla Salmona była pobudką do okrucieństw, któremi Gwinona chciała zgon jego pomścić. Jest ona niezadowolona z pojawienia się Salmona, gdyż widocznie ciążyło jej to fałszywe położenie wobec męża, przed którym ukrywała swe stosunki. Lech wyraża się o Salmonie, iż »był najpiękniejszy« z jego rycerzy.

Niż tamten Salmon nie zaczarowany.
Jestem Salmona dusza w innem ciele.
Lech. Odsłoń że hełmu, niechaj cię zobaczę...
Ślaz. A ba! mój także hełm zaczarowany,
Jakem się zamknął w nim, tak dotąd siedzę...
Przeklęta klatka!
Lech. Co mówisz?
Ślaz. Niech zginę,
Jeżeli kłamię. Nie ja w hełmie chodzę,
Ale hełm ze mną włóczy się po świecie,
I będzie trzymał, aż mu się spodoba
Uwolnić moją głowę, aby jadła.
Ten hełm jeść nie chce i ust nie otwiera,
Przeklęta, djabla machina, panowie,
Na ogłodzenie człowieka.
Gwinona. Rycerze!
Zrąbcie mu głowę z karku, to nie Salmon.
Ślaz. Przysięgam! mości panowie, ja Salmon.
Gwinona. Salmon zabity był wczora.
Ślaz. Ja wczora
Byłem zabity, do śmierci zabity. —
Nie dobywajcie mieczów, mospanowie,
Bo, jak mnie teraz zabijecie, to już
Gotówem nigdy nie żyć. Zabijanie
To na raz sztuka; raz mi się udało,
Drugi raz może mi się już nie uda
Chodzić po śmierci.
Lech. Cóż więc? jesteś duchem?
Ślaz. Schowajcie miecze, a powiem, czem jestem.
Lech. Jeśliś nie Salmon — to śmierć!
Ślaz. Jestem Salmon.
Lech. Więc mów, jak Salmon.
Ślaz. Otóż to jest sztuka
Mówić, jak Salmon, zaczarowanemu.
Lech. Któż to na ciebie rzucił takie czary?
Ślaz. Kto? — Wczoraj martwy leżałem na polu;
Wtem jakaś wiedźma, co paliła trupy,
Przyszła i wzięła mnie za nogi — to nic,
Ja byłem martwy, nie mówiłem słowa —
Aż mię ta straszna olbrzymka, dlatego
Że byłem martwy, chciała rzucić w ogień;
Więc ja zacząłem krzyczeć... więc ta wiedźma
Puściła moje nogi — więc ja wstałem —
Więc ona gniewna, że ja nie umarłem,
Zaczarowała mnie; wyjęła oczy
I dała inne oczy na pamiątkę;
Oczy wydarte z kota, szare, kocie,

Przez które zaraz zobaczyłem w nocy,
Że mi już także nosa odmieniła.
I bocianowi wziąwszy dziób, przypięła
Do mojej twarzy, pomiędzy oczyma;
Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
Spuściłem na nos przyłbicę — więc potem
Chciałem odemknąć, aż moja przyłbica
Nie chciała; i tak — szlachetni rycerze,
Jeżeli teraz chcecie się przekonać,
Jak ja okropnie jestem odmieniony
Czarami wiedźmy tej, to z łaski waszej
Przyłbicę mi tę otwórzcie.
Gwinona *otwierając hełm Ślaza.* O nieba!
Ślaz. No, cóż, i jakże wy mnie znajdujecie?
Gwinona. Straszydło chude!
Ślaz. Co chude, to chude!
Mój pan już na mnie został anatomem [1]).
Gwinona. O jakim panu ty mówisz?
Ślaz. O jakim?
O Panu Bogu.
Lech. Ale ci ta wiedźma
Mężnego serca nie zaczarowała?
Ślaz. Serca? to byłoby już bez potrzeby
Czarować serce i cóż? — czy nie dosyć
Takiego nosa?
Lech. Tyś był najpiękniejszy
Z moich rycerzy; dziś brzydki straszliwie.
Ślaz. Tylko mi dajcie jeść, a obaczycie,
Że ja tak utyję, to nie będę szpetnym.
Lech. Oby ci pierwszą Bóg przywrócił postać.
Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.
Gwinona. To jakiś oszust w Salmona zbroicy.
O! jak rycerze są ci łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć kłębka, jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tem może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Potem przez dobroć rosnąć pozwalają
Fałszu krzewinie, wstydząc się za ludzi,
Którzy się wstydzić powinni. — O! głupi
Lud z rąk rycerskich i z głów nie myślących [2]);

---

[1]) Uczył się anatomji, jak na szkielecie.
[2]) Sąd Gwinony jest niejako zapowiedzią opinji wygłoszonej przez Ślaza (Akt IV, scena 4) o Lechitach. Dał Gwinonie poeta pochodzenie odrębne, z Islandji,

Któremu chciałabym wlać moją twardość,
Inaczej... pierwsza burza — a już po nich.
Pokażę im myśl skierowaną wiecznie
Jako sztyletu ostrze w serce wroga;
Pokażę, co to jest kobieca wola,
Jaka głuchota na postronne jęki,
Jakie wlepienie oczu w samo łono
Raz przedsięwziętej rzeczy być powinno.
Jeśli niczego nie nauczę — biada!

Wychodzi.

SCENA III.

Pole przy lesie. — Lilla Weneda, Lelum i Polelum *w łańcuchach.*

Lilla W. Wolni jesteście. Niech Roza Weneda
Rozerwie wam te na rękach łańcuchy,
A ja do ojca idę niewolnika.
Za trzy dni ojca wam żywego wrócę. —
Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,
I może więcej nigdy nie powrócę,
I może nigdy się nie zobaczymy:
Pamiętaj o mnie, o! pamiętaj o mnie!
Ja cię kochałam jako siostra twoja,
Ja cię kochałam jak wierna kochanka,
Dzisiaj cię kocham jak ta, co ma umrzeć.
Pamiętasz, jak my dziećmi maleńkiemi
Z obu stron ojca harfy uklęknieni,
Przez złote struny dawaliśmy sobie
Pocałowania? dziwiąc się, że każdy
Nasz pocałunek strun się kończył jękiem:
Była to dziwna losu przepowiednia!
Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

Lelum. Jeżeli śmierci masz wczesnej przeczucie,
Chodź, przedśmiertelne weź pocałowanie.

Lilla W. Harfa naszego ojca jest w niewoli,
A ja nie jestem jeszcze zaślubioną,
Ust moich ci dać nie mogę płonących.

Lelum. Więc rozpuść, Lillo, twoje złote włosy,
Schowaj się za nie, jako za strunami

---

ażeby przeciwstawić hart jej woli, dziką energję, słabości charakteru Lechitów.

Harfy ojcowskiej... niechaj przez warkocze
Twych koralowych ust dotknę ustami...

Lilla W. O! nie, jak prosty gołąb ja się rzucę
Na wasze łono... kochajcie mnie, bracia,
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno...
Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi [1]).
Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
Mówcie: umarła. *Odchodzi.*

Lelum. Bracie mój — słyszałeś?
Ona ma umrzeć...

Polelum. Całe piekło we mnie.
Nie więcej czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w ręku przeciw ojca głowie,
Jak teraz, słysząc wasze szczebiotanie,
Dzieci niedoli. Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczem.

Lelum. O! Polelum,
Ty po mnie żywy zostaniesz.

Polelum. Po tobie?

Lelum. Dlatego ciebie tak nazwała wróżka:
Gdy Lelum skona, żyć będziesz po Lelum.

Polelum. Ja zadam kłamstwo wróżbie — ja nie będę
Z waszemi groby żył w kraju niewoli.
Świadczę się tobą, słońce, jeśli kiedy
Ujrzysz mnie żywym na brata kurhanie:
To natęż tak twe oczy, światła boże,
Aż mi zapalisz włos na tej bezwstydnej
Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
Próżno los wróży, że będę ostatnim [2]),
Ostatnią będzie tu jaka kobieta,
Albo rzecz jaka żywa jeszcze słabsza,
Monstrum [3]), któremu Bóg nie dał w rozpaczy
Władzy skonania — to będzie ostatniem.
Słońce zapłoni się, jakby zhańbione,

---

[1]) Jest to niewątpliwie krzyk cierpiącego serca poety, wynurzającego swą prośbę i skargę zarazem przez usta Lilli, jak swe sarkastyczne i satyryczne sądy o Lechitach wypowiada przez usta Gwinony i Ślaza.

[2]) Krasiński, którego myśli i przewidywania wkłada poeta w usta Polelum, wypowiedział swe gorączkowo-nerwowe przeczucia własnej przyszłości w znanym pięknym poemacie »Ostatni«. Druga połowa tej odpowiedzi Polelum jest zapewne także odbiciem pesymistycznych myśli wymienianych poetów, wyłączających się ze społeczeństwa swą duchową wyższością.

[3]) Potwór, potworna istota.

Że nie ma komu świecić, tylko gadom,
I tym, co umrzeć jak ludzie nie śmieli.
Chodź! — wróżka powie nam, jak mamy skonać.

Wychodzą.

SCENA IV.

Sala w zamku Lecha. **Gwinona, Rycerze, Gryf.**

Gwinona. Tak być nie może, nie, tak być nie może.
Z tym starcem trzeba skończyć... przyprowadźcie
Króla Derwida i z mego pokoju
Przynieście harfę. Klnę się wam na duszę,
Że ta dziewczyna cierpi pomieszanie;
Lub pomieszanie cierpi, lub fałszywa;
A w jej białości tyle jest kolorów,
Jako na szyi gołębia... harfiarka!
Dumna, że czoło mi stawi... żebraczka!
Otóż mój człowiek.

Derwid, wprowadzony przez rycerzy, staje przed królową... przy nim stawiają harfę.

Postawcie go tutaj,
Bliżej przy harfie postawcie. Człowieku!
Widzisz, że wolę mam żelazną — słuchaj:
Błysnął ci topór synowski nad głową,
Ale miał litość nad tobą i synem
I tylko trochę urąbał warkocza,
A głowę dla mnie zostawił nietkniętą...
Widzę w tem jednak czarodziejską sprawę.
Topory wasze muszą mieć na ostrzu
Synowskie oczy; harfy — córek serca:
Ta harfa twoja, dzisiaj postawiona
Przy łożu mojem, o każdej godzinie
Nocnej budziła mnie jękiem bolesnym,
Choć nawet wicher nocy ją nie trącił,
Ani się ciche dotknęły motyle.
Naucz mnie twego czarodziejstwa, powiedz,
Jak wy nieżywe rzeczy czarujecie,
A z córki twojej uczynię królewnę,
Synowi memu starszemu zaślubię,
Ty będziesz teściem królewicza. I cóż?

Derwid. Harfa jęczała? — co mówisz, jęczała?
Przy tobie stojąc jęczała?

Gwinona. Cóż, starcze?

Derwid. Kto słyszał harfy jęk, we trzy dni skona.

Gwinona. Szalony starzec! śmiercią mi zagraża?

Derwid. Ty, ty za trzy dni umrzesz...

Gwinona. Ha?

Derwid. Słyszałaś.

Gwinona. Nędzarzu!

Drewid. Trumno!...

Gwinona. Nieszczęsny!

Derwid. Śmiertelna!...

Gwinona. Mój niewolniku!

Derwid. Królowo trzydniowa!

Gwinona. Umarły!...

Derwid. Jak pies zachrypłaś od krzyku.

Gwinona. Śliny mam dosyć... *Plwa na starca.*

Derwid. O! bogi! o! bogi!
Dajcie mi oczy moje, będę płakał...

Gwinona. Ha! szczerwieniła ci się twarz, harfiarzu.

Derwid. Tyś mię oplwała krwią.

Gwinona. Patrzcie, rycerze,
Ten człowiek królem był!...

Derwid. Patrzcie, rycerze,
Oto gadzina ta — była kobietą!

Gwinona. Człowiek ten kiedyś miał szacunek ludzki.

Derwid. I ta kobieta miała niegdyś ojca...

Gwinona. Proś w mego ojca imię, toć przebaczę.

Derwid. W imię cię ojca potępiam, przeklinam,
I bogom daję piekielnym za trzy dni...

Gwinona. Zato, żem ciebie zabiła?

Derwid. Że dręczysz.

Gwinona. Ha! więc ty czujesz!

Derwid. Ha! więc ty się cieszysz?

Gwinona. Już nacieszyłam się, teraz zabiję

Derwid. Ukąsisz tylko i umrę z wścieklizny.

Gwinona. Lękasz się mego zęba?

Derwid. Nie, choroby.

Gwinona. Rycerze, proszę, zlitujcie się nad nim...
To człowiek biedny... to człowiek szalony.
Harfiarzu! klęknij.

Derwid. Rzuć tu na podłogę
Twe czarne serce, pod moje kolana.

Gwinona. Nudzi mię kłótniarz ten. — Daj mu w policzek.

Derwid. Stój! splamisz ręce, ja mam twarz oplwaną.

Gwinona. Cóż to, ja sama mam bić tego króla?
Masz. *Uderza go.*

Derwid. Nikczemnico, niech cię Bóg obali.
O! serce moje! o! *Mdleje.*

Gwinona. Wynieście trupa
I rzućcie wężom.

Rycerze wynoszą Derwida.

Gryfie! ty dopilnuj,
Niech do wężowej wieży rzucą starca.

Gryf wychodzi.

Głupie, bez serca rycerstwo patrzało,
Gdy we mnie wzbierał gniew; kiedym ja wrzała,
To stali cicho, jak uliczne chłopcy,
Sykaniem szczwając psa mojego gniewu.
Milczeli wszyscy. Gdyby tylko jeden
Na starca słowem uderzył gryzącem,
I mej bezsilnej, kobiecej wściekłości
Przyszedł z pomocą, byłabym ostygła —
Lecz nie, milczeli; a jam się rzucała
W przepaść wściekłości, rozkoronowana,
Znienawidzona i nienawidząca;
Z całego serca ich nienawidząca!

Lilla Weneda wchodzi.

Lilla W. Pani! gdzie ojca mego niosą?
Gwinona. Na śmierć.
Lilla W. Powiedz, na jaką śmierć ty go skazałaś.
Gwinona. Kazałam rzucić na pożarcie wężom.
Lilla W. Wężom!
Gwinona. Spojrzałam wczoraj w jedną wieżę,
Która przy zamku stoi zrujnowana,
Spojrzałam: z gadzin okropne powoje —
Błyszczące, pełne ślin, pną się na ściany;
A w głębokości gniazda wężów leżą,
Błyskają oczy, wiją się ogony,
I ciągły słychać świst, sykanie, gwary,
Jak w garnku wrącym — Tam — w ciemność okropną
W tę sykającą ciemność, w to wężowe
Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić
Twojego ojca.
Lilla W. O! Boże! o! Boże!
Mój ojciec wężom jest rzucony głodnym?
Węże nie będą mieć nad nim litości!
O! więc mi skonać?
Gwinona. I cóż, gołębico?
Żadnego teraz ratunku, wybiegu,
Tu nie pomoże topór twego brata,
Tu nie pomogą twoje łzy: — pożarty
I rozszarpany między gadzinami
Twój stary ojciec.

Lilla W. Ta harfa go zbawi.

Chwyta za harfę i wybiega.

Gwinona. Harfa! Idź z Bogiem, waryjatko smętna,
Czegoż dokażesz harfą uzbrojona,
Przeciwko zemście węży i kobiety?

Wychodzi.

SCENA V.

Sala taż sama. **Lech i Sygoń** *wchodzą.*

Lech. Sygonie, człowiek ten nie jest Salmonem.
Przy uczcie jeden mu dał w łeb talerzem;
Ten człowiek — widząc krew, cieknącą z czoła,
Zawołał: octu! — Gdyby to był Salmon,
Byłby zawołał: szabli! Wiesz, co myślę.
Już postawiłem go na straży w bramie;
Zmieniwszy zbroję, razem nań wpadniemy:
Jeżeli zamiast bronić się, jak Salmon,
Będzie o życie błagał na kolanach;
Każę go jak psa powiesić i ścwiczyć.

Goniec wchodzi.

Goniec. Lechu! nowiny są okropne z pola.
Wenedy znów się rzucają do broni.
Lechon, najstarszy twój syn, zostawiony
Na drugiej stronie Gopła ze stu ludźmi,
Wzięty w niewolę.
Lech. Nie mówić Gwinonie!
Ona miłuje bardzo tego syna.
Każ ostrzyć miecze i naprawiać tarcze,
W ostatniej walce dzidami pokłute —
To dobrze, mój Sygonie. Bój zaczęty.—
O! syn mój biedny! — Ale te psy wściekłe
Nie będą śmieli jeńca zamordować?
Nie mówić tylko nic o tem Gwinonie.
Syna odbiję, nim się ona dowie.
Goniec. Różne biegają straszne przepowiednie
O przyszłej walce między Wenedami;
Wszystkie te wróżby sieje czarownica
Młoda i piękna, co na łysej górze
Ma wykopany loch, podobny gniazdom
Rzecznych jaskółek.
Lech. Cóż za wróżby, powiedz?

Goniec. Mówią, że wódz ich będzie miał dwie głowy,
Dwa serca, oczów czworo płomienistych,
Lecz jeden tylko oszczep, jedną tarczę.
Lech. Na Boga! ja mu odetnę dwie głowy,
Ja mu rozrąbię tą szablą dwa serca:
Lepiejby wyszli, gdyby miał dwie tarcze,
I dwa oszczepy, a mózg tylko jeden.
Goniec. Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.
Lech. Dobrze, będzie widno.
Goniec. Ta czarownica zgóry zapowiada,
Że po tej walce, martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.
Lech. To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy,
I wódz ten z dwoma głowami i mściciel.
Dosyć! już ciemno, dosyć już tych bredni!
Bić się będziemy, i to jest najlepsza. —
Chodźmy Salmona wypróbować męstwo.

Wychodzą.

SCENA VI.

Dziedziniec w zamku Lecha. — Ślaz na straży. przy bramie. Noc.

Trzeba salmoństwo to skończyć — dalibóg!
Salmoństwo moje bardzo niebezpieczne
I różnych rzeczy wymaga: naprzykład
Odwagi. Gdybym wiedział, że ze zbroją
Spadają na mnie takie obligacje [1]),
Byłbym nie tykał jej... ani tych rzeczy,
Które rycerza są. — Co widzę? Chryste!
Pan mój dawniejszy prosto w bramę dąży.
Wyda się kłamstwo — po radę do głowy...

Słychać stukanie do bramy. Ślaz otwiera drzwi i ujrzawszy Św. Gwalberta, zatrzymuje go halabardą u wejścia.

Ktoś ty?
Gwalbert. Domowi temu niosę pokój.
Ślaz. A więc nie wejdziesz, my żyjemy z wojny.

[1]) Zobowiązania.

Gwalbert. Puść mię do Lecha, puść, mężny rycerzu,
Niech cię *Spiritus Sanctus* [1]). — O! pohańcze,
Mówię ci, puść mię, bo ci spadnie głowa.
Ty się wielkiemu sprzeciwiasz cudowi.
Dziś nad jeziorem, równa gołębiowi
Białością, cała powietrzem tęczowa,
Z gwiazdy sinemi, matka Chrystusowa
Pokazała się — ukląkłem, a ona:
Idź, bo stary Derwid kona,
Córka jego, mój gołąbek,
Z bolu umiera.
Tak mówiąc, w tęczy się rąbek
Owinęła postać święta,
I uniosła ją anielska sfera
Z tęczą, z gwiazdami, z tysiącem promieni [2]).
Ślaz. Czemuś nie nabrał tych gwiazd do kieszeni?
Mógłbyś zapłacić teraz odźwiernemu.
Gwalbert Zapłacić? święci nic nie płacą.
Ślaz. Czemu?
Gwalbert. Bóg daje wszystko temu, kto jest z Bogiem. —
Ale nie trzymaj mnie przed zamku progiem,
Twój upór sługę mego przypomina.
Ślaz. Cóż to za człowiek był?
Gwalbert. At, łajdaczyna!
Ślaz. Gdzie jest?
Gwalbert. Już teraz djabeł wziął do piekła.
Ślaz Już w piekle?
Gwalbert. W piekle.
Ślaz. Hum... dobra nowina.
Gwalbert. Miałem łajdaka sługę, skradł mi wszystko
I spalił czaszkę wielkiego olbrzyma,
Z której ja sobie uczyniłem celę;
Tak że w tej czaszce, gdzie niegdyś mieszkały

[1]) Duch święty, domyślać się trzeba: oświeci.
[2]) Poeta, jak poprzednio, w scenie 2 aktu I-go, wkłada w usta Gwalberta odbicie mistycznych wytworów swej wyobraźni, pod wpływem improwizacji Konrada, tak tu znowu, pod wpływem Madon Rafaela i przyozdobienia początku »Jerozolimy« Tassa postacią Pani, »która między chóry niebieskiemi mieszka w gwiazd nieśmiertelnych uwitej koronie«, wprowadza postać Bogarodzicy. Wkrótce potem, w IX pieśni »Beniowskiego«, skreśli prześliczną scenę spotkania się i rozmowy dwu Matek Bożych: Podkamieńskiej i Poczajowskiej.

Bogi Walhalli [1]), teraz się świeciła
Czystość dziewicza w gwiaździstej koronie
I odzywała się czysta modlitwa.
Ślaz. To jakiś sługa niewierny!
Gwalbert. Bies sługa!
Teraz ja myślę, że to sam Lucyfer
Podjął się u mnie służby i oszukał.
Lecz nie przełamie djabeł mocy Boga,
Ani piekielne pokusy przemogą. —
Jeżeli jeszcze ten djabeł bezwstydny
Jest w ludzkiej skórze, to pod dyscypliną...
Lecz zdaje mi się, że to nie był djabeł,
Rycerzu, on był na djabła za głupi.
Ślaz *na stronie.* Wolałbym, żeby trzymał się był o mnie
Pierwszej opinji. — Ach! Ach! myśl szczęśliwa!
Przemienię tego siwosza w Salmona. *(Głośno)*
Chodź tu, staruszku święty!
Gwalbert. Dzięki Bogu,
Poganin zaczął już przezierać w światło.
Nazwał mię świętym — do chrztu niedaleko.
Ślaz *na stronie.* Ja ciebie ochrzczę, dalibóg, że ochrzczę!
Usalmonuję ciebie. *(Głośno)*
Przewielebny!
Już noc, Lech teraz śpi.
Gwalbert. Pokaż mi drogę.
Ja go obudzę.
Ślaz. Pomyśl! — to lew srogi,
Gotów się rzucić na ciebie i pożreć.
Gwalbert. Więc mi to będzie wieniec męczennika.
Ślaz. Staruszku, ty masz oczy bazyliszka
W świętym czerepie, mnie oczarowałeś.
Już gotów jestem zaraz zejść ze straży,
Choć za to można, jak nic, zgubić głowę.
Lecz na usługi twoje jestem gotów.
Gwalbert. Uczyń to, uczyń, a nagroda w niebie.
Ślaz. Więc mi oddadzą w niebie moją głowę?
Ja wcale innej nie żądam nagrody,
Ja moją głowę bardzo kocham, cenię;

[1]) Walhalla, miejsce pobytu pośmiertnego, wedle pojęć religijnych Germanów, dusz wojowników poległych w boju z nieprzyjaciółmi. Święty Gwalbert przypuszcza, że czaszka należała do jakiegoś olbrzyma, poganina, który czcił bogów starogermańskich. Wykopywane z ziemi szkielety i kości olbrzymich zwierząt, zaginionych obecnie, przypisywano zwykle wielkoludom i umieszczano je często po kościołach.

Jeśli przyrzekasz, że jak głowę stracę,
To ją odzyskam, pójdę budzić Lecha.
Gwalbert. Przeczuwasz prawie święte pismo boże.
Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska.
Ślaz. Ale nic Chrystus nie mówi o głowie?
Gwalbert. Głowa jest niczem, gdzie chodzi o duszę.
Ślaz. Kiedy nic Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale niema bezpieczeństwa,
Ja wolę głowę niż duszę.
Gwalbert. Nędzniku!
Ja ci dowiodę, że światowe szczęście...
Ślaz. Ty mi dowodzisz, a twój Derwid ginie.
Lepiejże moją zbroję weź na siebie
I postój za mnie na straży przy bramie,
To pójdę, Lecha obudzę i wrócę.
Gwalbert. Rycerzu, daj mi zbroję i zbudź Lecha.
Ślaz. Stójże tu, stary — dzida w ręce prawej
Przeciwko wrogom, tak — hełm na łysinę.
(Na stronie O teraźże mu zamknąłem przyłbicę.
Jeśli otworzy, będzie mądry. *(Głośno).*
Stój tu...
Jeśli spytają-ć: Kto? odpowiedz: Salmon,
Ja jestem Salmon. — Za chwilę powrócę.
Wykrada się za bramę zamku i ucieka.
Gwalbert *w zbroi, chodząc wielkim krokiem.*
Więcże to, Boże, i w rycerskim stanie
Dobrzy są ludzie, dobrzy, choć poganie.
Otóż włożyłem rycerską kolczugę,
Najświętsza Panno, patrz na twego sługę.
Oto ja rycerz z pod twojego znaku,
Jak nowy olbrzym, Gedeon w szyszaku [1]).
Trąbą mi teraz tylko walić mury [2]),
I piorunować grzeszniki i króle. —
Cóż to za zbrojni ludzie z latarniami?
Lech i Sygoń z latarniami, zbrojno.
Lech. Tu był na straży Salmon.
Gwalbert. Jestem Salmon.
Lech. Sygonie, patrzaj na tego człowieka.
Jeśli to Salmon, to się znów odmienił.

[1]) Gedeon, olbrzymiej siły wojownik, który, wedle opowieści biblijnej, wyzwolił Izraelitów z pod przemocy Madjanitów.

[2]) Aluzja do opowieści biblijnej o zwaleniu się murów miasta Jerycho od odgłosu trąb.

To jakiś możny jest czarownik. — Mówisz,
Że jesteś Salmon; Salmon straci głowę,
Jeśli się wyda, że nie jesteś Salmon.
Gwalbert. O! nieba — jestem Salmon.
Lech. Patrzno, Sygoń.
Włos mu wygląda siwy z pod szyszaka,
Króciutkie nogi, w łapciach, z pod puklerza,
To jakiś możny djabeł... możny djabeł. —
O! czarowniku, jeżeliś ty Salmon,
Po śmierci w ciało ubrany djabelskie,
To na kawałki potnę twoje ciało,
Aż dusza twoja w ogniu gorejąca
Nie będzie miała w co się ubrać — broń się!

Napada z mieczem.

Gwalbert. O! panie, ja nie Salmon!
Lech. Któż ty taki?
Gwalbert. Nazywają mnie powszechnie Gwalbertem,
Świętym Gwalbertem. Otwórzcie przyłbicę;
Bo ja nie umiem tej klatki otworzyć...
Lech. To tak jak tamten... Wymówka ta sama.
Nędzniku, wziąłeś na się inną postać;
Przebiegły jesteś... włos ci czarny zbielał;
Jam ciebie chudym widział przed godziną,
Teraz żołądek masz pełny i może
Płonących węgli masz pełny żołądek.
Na Boga! czarów nie będę igraszką...
Do mnie, rycerze. *Klaszcze, wchodzi kilku z rycerstwa.*
Weźcie tego djabła. —
Sygoń, niech rzucą go wężom do wieży.
Gwalbert. Święta Maryjo! broń twojego sługi.

Żołnierstwo wynosi Św. Gwalberta, który krzyczy i wyrywa się. Sygoń wychodzi za nimi. Na krzyk starca wbiega Gwinona.

Gwinona. Co to jest za zgiełk? co to są za krzyki?
Lech. Kazałem wężom rzucić czarownika.
Ten Salmon, żono, to był zły duch, mocny.
Gwinona. Węże nie głodne, dziś jadły człowieka.

Sygoń wraca.

Lech. Sygonie! cóż to, powróciłeś blady?
Sygoń. Panie! powracam z nad wężowej wieży.
Gwinona. I tam widziałeś poszarpane członki
Człowieka, w paszczy wężowej trzeszczące?
I tam słyszałeś gadzin smętne świsty?

I tam widziałeś jęczącą dziewczynę,
Która nad straszną wieżą nachylona,
Jak słowik, gdy się na węża zapatrzy,
Skrzydełek tylko lekkiem trzepotaniem
Okazywała strach?
Sygoń. Ja tam widziałem
Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły.
Przy wieży biała księżycem dziewica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej
W krąg stoją węże, tak wyprostowane,
Jak morska fala, wzdęta nad dziewczyną:
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma i spokojne [1]),
Ale już widać, że jej białe ręce
Mdleją na strunach; że się pieśń zakończy
Z życiem harfiarki w głodnych wężów paszczy.
Gwinona. Więc wieża, gdzie ten stary człowiek?...
Sygoń. Pusta.
Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary,
Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,
Są słuchaczami córki.
Gwinona. Zwyciężyła!
Dobądźcie z wieży starego Derwida. —
O! głupie węże! o! przeklęte gady! —
Córce odebrać harfę i wypędzić!
Derwida zamknąć w podziemne ciemnice;
Czego nie zrobił wąż, dokażę głodem.
Czy go nakarmi córka, zobaczycie.
Sygoń. A z tym Salmonem co robić?
Lech. Zamknąć go
W jednem więzieniu z Derwidem — zamorzyć.
Oba są warci zgonu czarownicy. *Wychodzą.*

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

O! święta ziemio polska! [2]) arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.

---

[1]) Wpływ muzyki na węże znany jest zarówno na Wschodzie, gdzie posiłkują się nim tak zw. zaklinacze wężów, dla wywierania na nie wpływu, jak i w starożytnych sagach skandynawskich, podających legendy na ten temat.

[2]) Wyrażenie to: »ziemia polska« jest anachronizmem w stosunku do epoki, na której tle zachodzą przedstawione tu wypadki. Niema wtedy jeszcze Polski, która dopiero później wytworzy się nad Gopłem, gdy z popiołów poległych rycerzy wenedzkich wyniknie ich mściciel: Popiel. Wspaniały ten, pełen siły chór zwraca się do

W przeszłości słychać dźwięk tej harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serce dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyfleci zdala;
Będziecież wy, jak węże, stać i słuchać?
Będziecież wy, jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu,
I znów się staną z was pełzające węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych, jak wy, serc się hańba lęże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć oręże.

AKT IV.[1]

SCENA I.

Sala w zamku Lecha. Lech, Gwinona, Gryf. *Wchodzi* Lilla Weneda.

Lilla W. W niezawiązanej przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,
Lecz wy mnie puśćcie do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem.
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią,
Jam go nie mogła zbawić — więc pożegnam.
Dlatego głowę ubrałam w lilije,
W te wodne kwiaty, które u nas kładną
Dziewicom zmarłym na ostygłe czoła.
O! Pani! spuść ty ze swojej srogości!
Ja biedna zimne węże rozczuliłam,
I tak się gady do mnie przywiązały,
Że za mną cały kłębek biegł i syczał,
Jak pies, wyjący smutnie z przywiązania.
I cóż ja winna, że węże wolały
Słuchać mej pieśni, niż mojego płaczu?
A żem ja węże zimne rozczuliła,
Dlaczegoż w tobie powiększyłam srogość?
Czy ty zazdrościsz mi, Pani, zwycięstwa,
Które mi ojca mego wybawiło?

współczesnych poecie pokoleń, harfiarzami są wieszcze narodu, a przedewszystkiem Słowacki i Krasiński, domagają się oni od współziomków czynu, jako wyniku pieśni, przemawiających od ich serc.

O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,
A ja go będę na śmierć skazywała,
A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,
Bo ten zwycięża tu zawsze, kto broni. —
Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną.
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
W czoło chcę tylko pocałować zimne,
Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
Że go nie mogłam zbawić — lecz kochałam.
O, patrz! koszula moja nie związana,
Nie niosę chleba, ani żadnej strawy. —
Może się boisz, że, jak drzwi otworzę,
To wleci ze mną jaka muszka złota
I ten ją starzec zje? — O! Pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci — ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, każcie wy mnie wpuścić
Do mego ojca głodnego.

Lech. Gwinono,
Na Boga, te łzy miecz mi rozhartują.

Gwinona. I ty jej wierzysz? — to są łzy zmyślone,
Ona dwa razy tak płakała głośno;
Za te trzy płacze ona się trzy razy
Odśmieje ze mnie, jeśli ojca zbawi.

Lech. I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?

Gwinona. Lechu, śmiech ludzki jest zabójczą bronią,
Więcej on strącił koron z głów posępnych,
Niż ci się zdaje; o! śmiech, to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje
I tam go kąsa, kąsa, do krwi kąsa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją,
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w sobie
I rodzi niemoc; ja znam takich ludzi,
Z których się żaden żywy śmiać nie waży;
Ci ludzie mają królestwo nad tymi,
Którzy są śmiechu ludzkiego poddani[1]).

[1]) Myśli, wypowiedziane tu, są zapewne odbiciem przekonań poety, który, idąc za radą Krasińskiego, zalecającego mu, by przymieszał »żółci do lazurów«, zaraz po napisaniu »Lilli Wenedy« zabiera się do utworzenia »Beniowskiego«. W tym poemacie ironją, dowcipem, ośmieszeniem walczyć będzie ze swymi przeciwnikami i krytykami.

Lilla W. Królowo! czegoż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy, co wyśmieją litość!
Widziałam w twoim sypialnym pokoju
Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w niem jaskółka uwinęła gniazdo.
Więc ty masz litość; a czy się kto śmieje,
Że ty masz litość nad jaskółką? — Pani,
Więc ja znalazłam w twojem sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się, Pani, zlitowała?
Więc każ mi wydrzeć te spłakane oczy,
A potem zlituj się nade mną ślepą,
I każ mnie wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.
Gwinona. Smutny to żebrak, co grosz wydrze nudą.
Lilla W. O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.
Gwinona. Gryfie, każ wpuścić ją do tej ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec jej, morzony głodem.

Lilla Weneda i Gryf wychodzą.

Lechu! na twoją to zrobiłam prośbę
Cóż mi tak smutny stoisz i ponury?
Lech. Gwinono, syn nasz w niewoli.
Gwinona. W niewoli?
Mój syn w niewoli? mój Lechon w niewoli?
Nie—ty mnie straszysz.—Nie wiesz sam, co mówisz.
On mi się dzisiaj śnił. — O! Boże! Boże!
Na syna mego zgubę pracowałam.
Syn u Wenedów! Lechon u Wenedów!
Lechon — on nie ma takiej córki! —
Lech. Żono,
Ja go odbiję.
Gwinona. Trupa ty odbijesz!
O! Lechu, na koń! na koń! na koń, Lechu!
Wszyscy rycerze! zbierz wszystkich rycerzy!
Jeśli wrócicie żywi bez Lechona,
Ja się zabiję — będę pławała w oczy!
Ja się zabiję... Cóż wy, tchórze? na koń!

Wybiega.

Lech. Niech się wykrzyczy, krzyk nic nie pomoże,
Dziś, za mego Lechona, stu trupem położę.

Wychodzi.

SCENA II.

Błonie.

Ślaz *wchodzi.* Moja nieboszczka matula mówiła,
Że kłamstwem wyjdę na pana — to kłamstwo,
Co mi matula mówiła o kłamstwie —
Ergo: jeżeli więc mówiła kłamstwo,
Powinna była zrobić tem fortunę —
Umarła goła, jak Lazarus[1]) — a ja
Ledwom się kłamstwem nie usalmonował
Na wieki wieków! to szczęście, że jakoś,
Mojego pana zrobiwszy Salmonem
(Niechaj mu światło wiekuiste świeci),
Uciekłem z zamku, i dobrze się stało;
Gwalbertus, mój pan, został męczennikiem,
I pod imieniem świętego Salmona
Króluje w niebie, więc dobrze się stało —
Lecz to jest kwestja... quomodo[2]) uniknąć
Głodu na puszczy i zrobić fortunę?
Już próbowałem chrześcijańskiej paszy[3]),
Już próbowałem rycerskiego chleba,
I zawsze chudy, jak słomka... więc ergo,
Pan Ślaz niech rusza do dziczy — rzecz prosta!
Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów —
W jakim kolorze? — kolorze Wenedów —
Jako szpieg? — fuj — nie szpieg, lecz nowiniarz,
Zemsty nowiniarz, blekotnik[4]) nowiniarz,
Człowiek ognistej mowy, krwawych zębów
I czerwonego języka — więc ergo
Gdy zapytają: czy widziałeś Lecha?
Widziałem. — A co robi? — Gdym go widział,
To jadł Weneda z solą. — A Gwinona?
Gwinona we krwi się dziatek kąpała. —
A cóż się stało z naszym starym królem? —
A ja pokażę tak, język wywalę
I zamknę oczy: wasz król est finitus[5]).
A jego córka? — A ja łzy, jak z wiadra,
Popuszczę na to i nic nie odpowiem,

---

[1]) Łazarz, nędzarz z przypowieści ewangelicznej.
[2]) W jaki sposób.
[3]) W służbie u św. Gwalberta.
[4]) Łgarz, durzący śmiałemi kłamstwami.
[5]) Skończył, nie żyje.

Albo odpowiem jakie nowe kłamstwo,
Takie żałośne kłamstwo, że uwierzą
I jeść mi dadzą — za to, żem się spłakał.

Wychodzi.

SCENA III.

Sala w zamku Lecha. Lech, Gwinona, Rycerze.

Lech. Na Boga! bądźże cierpliwą! na Boga!
Mój oddział jeszcze z podjazdu nie wrócił.
Gwinona. Ty gadasz! a tam mój syn roztargany? [1])
O! straszna! głupia jest cierpliwość twoja!
Jak nienawidzę w ludziach cierpliwości!
Często im wcale czekać nie potrzeba,
Ale dlatego, że ktoś prosi: ś p i e s z s i ę,
To oni różne wynajdują zwłoki,
Aby pokazać wyższość i rozwagę
I nad palącem się sercem panować.
Lechu! czy wiesz ty, ile chwil potrzeba,
Aby zabito bezbronnego jeńca?
Dziwna cierpliwość! okropna cierpliwość!
O! Lechu! jeśli mój syn biedny zginie,
To w dzień i w nocy będę ci krzyczała:
Tyś syna twego zabił cierpliwością!
Ja wtenczas będę w wyrzutach cierpliwą,
Cierpliwie będę ci kąsała serce;
We mnie ty zbrzydzisz cierpliwość; — o! kacie!
O! kacie twego nieszczęsnego syna!
Ach! Boże! daj co gryźć mojemu sercu,
Bo jabym teraz serce męża gryzła [2]).
Ja wiem, co powiem: Lechu! — jesteś tchórzem!
Lech. Tchórzem nie jestem.
Gwinona. Więc ojcem nie jesteś!
Czemże ty jesteś? — kawałkiem żelaza?
Lech. O tego nadto! — nadto! Ty dotychczas
Byłaś w domostwie samowładną panią;
Jam ci ulegał, bojący się wrzasku.
Ty napełniałaś mój dom okrucieństwem.
Na Boga! już mi to się wreszcie nudzi.

[1]) Poszarpany przez nieprzyjaciół.

[2]) Drugą pieśń »Beniowskiego« kończy poeta słowami: »Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę«.

Rycerzy moich garsteczka maleńka,
Podjazdem i te siły rozerwane;
A ci Wenedzi z dwunastu się krain
Zeszli i całe okrywają pole.
Tam są olbrzymie Scyty [1]), co krew piją
W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna;
Tam są Letoni, co na hełmach noszą
Rogi, żywemu wyrwane turowi;
Tam jest Mazonów lekkie pokolenie,
Co głowy, jako szczygły, ubierają
W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy
Migocące się niosą pióra pawie;
Nad temi tłumy dwunastu harfiarzy;
Nad harfiarzami straszna prorokini,
Na samym szczycie ludzkiej piramidy
Błyskawicami gadająca — a ja
Z rycerzy garstką mam wstąpić w mrowisko?
Ja, co te ludy chcę wyciąć do szczętu?
Nie czekać, aż mi w noc błyskawicową
Z nieba lejące pomogą pioruny?
Szalona jesteś — szalona kobieto!
Gwinona. O! widzę, że już ciebie nie przełamię!
Widzę już! widzę mego syna trupem!
Lech. Syn twój powróci, syn powróci, nie płacz.
Gwinona. O! jużem ja go teraz opłakała.
O! rozpacz!... rozpacz... o! rozpacz! on skonał.

Lilla Weneda wchodzi bez wianka liljowego na głowie.

Lilla W. Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W lilijach było mego ojca życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
Jego zbawieniem ukoronowana.

[1]) Poeta wkłada tu w usta Lecha charakterystykę plemiennych domieszek, jakie weszły w skład wytworzonego później narodu polskiego. Nie dbając o ścisłość historyczną, każe Wenedom »z dwunastu krain« przybywać w okolice nadgoplańskie i mieszać się ze Scytami, przez których rozumie mieszkańców Skandynawji, czcicieli Odyna, z Letonami, czyli Litwinami, i Mazonami, czyli Mazurami. Szczegóły kulturalne, tu podane, są wytworem wyobraźni poety.

Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;
Lilije wodne nas od głodu bronią [1]),
Ilekroć zboże roku nie dotrzyma.
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinniałemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec mój! — jam go zbawiła.
Lechu, słyszałeś, jaki był warunek?
Nie pozwól, królu, żonie łamać wiary.

Gwinona. Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła
I tu mnie przyszła zagłuszyć radością!
A kiedy ona mówiła o ojcu,
To ja, nieszczęsna, myślałam o synie;
A kiedy ona lała łzy rozpaczy,
To ja, nieszczęsna, krwią płakałam w sercu. —
Weź ojca swego! weź! — ja potrzebuję
Nauczyć teraz was wszystkich litości.
Jabym głaskała ręką wasze tury,
Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
Miodem litości — a sosen szumowi
Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
O, każcie tutaj starca przyprowadzić,
Ja go odeślę ojcem memu dziecku.

Rycerzy kilku wychodzi.

Lilla W. Pani! ty dobra jesteś, o! ty dobra.
Już ja nie powiem, żem ojca zbawiła,
Ale że ty mi dałaś mego ojca.
Obaczysz, jak to serce drży z radości
Temu, kto biednym ludziom dopomoże.

Derwid wchodzi i rycerze,

Ojcze, wracamy do nas — ta królowa
Dała mi ciebie. Ojcze, chodź na słońce. —
Bądźcie mi zdrowi, królu i królowo. —
Chodź, ojcze! — Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

Derwid. Córko! a moja harfa?

Lilla W. O! królowo!
Widzisz, mój ojciec cały drży z radości.
Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
Że ci nie może dziękować oczyma,

[1]) Objaśnienie tego pomysłu dał sam poeta w liście do Krasińskiego, poprzedzającym dramat.

Więc ja za niego leję łzy — i jeszcze
Za ojca mego muszę być natrętną.
Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
Którą mój ojciec miał od swego ojca;
O! wróć mu, pani, tę harfę! o! wróć mu.

Gwinona. Przynieście harfę, którą ja kazałam
W cedrowej skrzyni uśpić rozpłakaną.

Lilla W. Ojcze, ty harfę mieć będziesz.

Derwid. Oddała?...

Gwinona *na stronie do Lecha.*
Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
To z jego powiek wybiegły czerwone
Dwie łzy, ogromne łzy, — czy uważałeś?
To były straszne łzy...

Lech. I cóż, kobieto?

Gwinona. Co? — nie rozumiesz... Córka albo harfa
Zostanie tutaj zakładnicą — widzisz,
Ten człowiek musi wybrać między dwiema.
A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną;
Rozumiesz? Gdyby nie te łzy czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała,
Że tu jest wybór.

Lech. Już widzę, już widzę.

Gwinona. Milcz... *Do Derwida.*
O Derwidzie! wy, Wenedzi, macie
Nienasycone serca — przed godziną,
Wiercony srogim głodem aż do kości,
Byłbyś poprzestał na kawałku chleba...
Lecz teraz, w miarę łask, żądania rosną.
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał —
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się...

Derwid. Każ odprowadzić mnie więc do więzienia!
Trupy się nie mszczą.

Gwinona. O! twardy człowieku!
Nigdyż twe serce przede mną nie zadrży?

Derwid. Wyjm je i zobacz.

Gwinona. Ja ci daję wolność...

Derwid. I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiałe?
Na me kolana ty rachujesz drżące,
Że mnie przed tobą powalą? — Nie, jędzo!
Nie! nie! nie! — Córko, daj mi rękę. — Jędzo!
Przed tobą skonam stojąc i zastygnę,
Wtenczas twe dziecko mnie paluszkiem trąci
I padnę — padnę: ale pókim żywy,
To jestem równy tobie — król i człowiek.

Gwinona *do wnoszących harfę.*
Postawcie przy nim bliżej harfę złotą,
Niechaj się na niej oprze ręką drugą.

Stawią harfę przy Derwidzie. Starzec jedną rękę na harfie, drugą kładzie na głowie córki.

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem,
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały — obie, jak córki — o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami, Derwidzie,
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja odrzucona
Ze mną zostanie — i będzie zakładem.
Derwid. Córko! co ona mówi?
Lilla W. Ojcze drogi!
Ta pani harfę ci oddaje złotą.
Derwid. Tę harfę?
Lilla W. Ojcze, harfę.
Derwid. Już oddała?
To chodźmy, córko.

Lilla do Gwinony.

Pani, ja powrócę,
I będę twoją niewolnicą. — Ojcze!
Chodźmy już.
Gwinona. Harfę porzucasz, Derwidzie?...
Lilla W. Nie mów tak głośno — jam cię zrozumiała,
Okropną jesteś — zlituj się nade mną.
Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca,
Serce mi pęknie, i będziesz tu miała
Trupa, nie córkę, o! bo w mojem sercu
Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie,
Lecz wszystkie pękną odrazu z boleści,
Jednym wyrazem ojcowskim stargane —
I nad nim także litość miej, i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!
Gwinona. Będziesz li zawsze, jak mała ptaszyna,
Skrzydełkiem w oczy bić błyszczące węża?
Jeślim wyrzekła — to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, żem je gryzła?
Wytłumacz ojcu sama, czego pragnę.
Lilla W. O! nielitośna. — Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecię.
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze. —

Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo nieszczęśliwy,
Jeżeli nie chcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze,
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz,
Kochaj...
Derwid. Niebiosa! — córko, gdzie ty jesteś?...
Ja kocham moją córkę. O! gołąbku,
Chodź i ślepego prowadź. Córko, prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd. — Córko! a harfa?
Lilla W. O! harfa skarży się, żeś ją opuścił.

Trąca o struny.

Derwid. Harfa skarży się na mnie?
Lilla W. Ojcze, jęczy.
Derwid. Jęczy! — Gdzie moja harfa? — czy to mara,
Czy to duch mojej harfy rozpłakanej
Stoi przede mną w promieniach; i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącemi jęki
Już odlatywał do nieba. — Ha! —

Lilla znów porusza struny.

I znów,
Słyszycie! harfa jęknęła — słyszycie?
O! dajcie, niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozpłakana.

Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią.

Gdzie drzwi? — rycerze, goście mnie z mieczami!
O! ja tej harfy nie dam. — Harfy nie dam!

Pada piersią na harfę.

Lilla W. Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.
Wstań, dobry ojcze. — O! patrzcie! o! patrzcie!
Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią. — O! struny! o! struny!
Wy nie jesteście córkami. — Królowo!
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz ty pani, że ja teraz płaczę
Dlatego, że mnie ojciec mój porzucił:
O! bądź przeklęta za tę myśl. — To radość
Wyrywa z oczu moich łzy; to radość.
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi.
Dzisiaj karmiony starzec lilijami
Mnie tak całował w usta i we włosy
I do mnie tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli;

A że ja płaczę, to tylko dlatego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnem więzieniu... i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze.

Gwinona. Odedrzeć starca od harfy!

Lilla W. *podnosząc ojca.* Widzicie,
On już łagodny, jak baranek.

Gwinona. Starcze!
Syn mój najstarszy, Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim — a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.

Derwid. Harfa?
Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

Lilla W. O! pani!
Więc jeszcze raz się rzucę na kolana,
I będę ciebie prosiła ze łzami:
Oddaj mu harfę... a mnie weź. Czy myślisz,
Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O! pozwól!
Niech tylko mego ojca odprowadzę,
On ślepy — tylko odprowadzę ojca,
A sama wrócę; a że ja powrócę,
To niech ci harfa ta będzie zakładem.
Ale przysięgnij, że za niewolnicę
Królewnę harfę wypuścisz z niewoli:
A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

Gwinona. Jakiż mi zakład z córki nie kochanej?

Lech. Na Boga! dosyć, Gwinona! już dosyć!
Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
Przysięgam, jeśli z Lechonem powróci,
To weźmie harfę, Lechona i moje
Błogosławieństwo; jeśli wróci sama —
To i tak, za nią, przysięgam na bogi!
Oddasz kawałek płaczącego drewna.

Gwinona. Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

Lilla W. Dzięki wam! dzięki! — Ojcze, dziś wieczorem
Harfę ci twoją postawię do grania.
Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
A teraz — o! królowie, do widzenia.
Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica. —
Chodź, dobry ojcze.

Derwid. A harfa?

Lilla W. Ta idzie
Za nami, ojcze.

Do Lecha.

Szlachetny rycerzu,
W twojem więzieniu został smętny starzec,
Także niewinny. *Odchodzi z ojcem.*

Lech. Ha... to ten czarownik. —
Sygonie, każ go wypuścić na wolność.
W ludziach anielstwa tyle, że nie można
Traktować, jak psów — wypuścić go z wieży.
A teraz chodźmy stroić się do walki.

Wychodzi.

Gwinona. Połóżcie harfę w skrzyni cedrowej — ta harfa
Dla mnie jest teraz Lechonem. — Nie kładźcie
W tej trumnie z drzewa harfy... bo pomyślę
Że syn mój, drogi Lechon, w trumnie leży:
A jeśli stanie się jakie nieszczęście
Z mojem kochanem dzieckiem, to przypomnę
Tę harfę w trumnie i będę myślała,
Że sama syna położyłam w trumnie.
Natura może stąd wziąć pochop i to
Wtrumnienie[1]) harfy strasznie naśladować
Rzeczywistością. — Wynieście ją za mną. —
Okropny zachód słońca, i te mury
Zdają się krwawe od promieni. — Gryfie,
Dziś w nocy będzie burza — chmury warczą.
Wy się będziecie dziś bić ostatecznie.

Wychodzą.

SCENA IV.

Grota wróżki, oświecona czerwonym blaskiem. **Roza Weneda** *stoi przy otworze groty i do zachodzącego słońca śpiewa runiczną inwokację*[2]). Dwunastu harfiarzy.

Roza W. Do krwi, złote słońce! do krwi, słońce!
Ty, ostatnie słońce, we krwi gaśnij!
Tu na walkę, wrony! kruki! orły!

[1]) Włożenie do trumny.

[2]) »Runiczna inwokacja«, t. j. zaklęcia czarodziejskie, wyrażone znakami runicznemi, stanowiącemi pismo Skandynawów. O skuteczności tych zaklęć świadczy wywołany przez nie huk gromu.

Tu, na walkę, psy, wyjące smutnie!
Tu, na walkę, chmury z piorunami!
Tu, szumiące wichry! — słońce, gaśnij!
Kruki! orły! wichry i pioruny,
Dajcie hasło! chmury, dajcie hasło!

Słychać daleki grom.

Harfiarz. Grom usłyszał i odzywa się głucho.
Roza W. Do mnie! do mnie! do mnie! tu, pioruny!
Tu nad głową moją, jako wieniec.
Niech ja, mściwa, z was mam włos, pioruny!
Kiedy wyjdę z groty w krew rozlaną,
Gdy za ojca mego stanę tronem,
Słuchająca jęków i czerwona
W krwi wyziewach, w koronie z błyskawic.
Harfiarz. Cóż ci mówią wróżby? cóż wyrzekły?
Roza W. Człek na człeka jak pies pójdzie wściekły,
Grom czerwony się gryźć będzie z błękitnym.
Krew poniesie z sobą tron Derwida,
I król będzie płynął z harfą, z tronem,
Jako kawał kry.
Harfiarz. O! biada! biada!
Roza W. Okropniejszą rzecz widziałam blada.
Krew podmyła tron i wzięła z sobą.
Król na tronie włosy rwał i rzucał,
A pioruny je paliły w powietrzu. —
Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom.
Harfiarz. Cóż wyrzekły wróżby, powiedz? straszna!
Roza W. Wczoraj kości warzyłam na polu,
Mózg gotował się w czaszkach człowieczych,
I wilgotna kość jęczała na ogniu.
Słuchająca wrzasku tych umarłych
Pomazałam krwią zamknięte oczy —
I nagle!
Widmo straszne wyszło z ognia do mnie,
I zawiodło mnie na walkę duchów.
Słuchajcie!
Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
Oczy nagle, jako trup, zawarła,
Spadła na nią iskra piorunowa;
I ta głowa smętna, już umarła,
Jęła smętnie mówić z drugą żywą,
Aż skry zjadły, jak smolne łuczywo,
Rozpłakaną tułowu koronę.
I spojrzałam w drugą walki stronę,
Odwróciwszy się, jak od gasnącej głowni,
Od półmartwej osoby;

I tam stali ludzie w szyku, równi [1]),
Równi, zimni, biali, jako groby.
Miecz je walił, gdy piorun był niemy;
Czasem walił piorun i miecz razem.
Wtem ktoś cicho wykrzyknął: g i n i e m y!
I tysięcy sześć — nie tkniętych żelazem —
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem —
Otworzyłam jeden tułów trupowy,
I znalazłam, że w nim serce zbladło,
I tak trzęsło się, jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta;
I rozcięłam drugą pierś dla ptaków;
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków
Zamiast serca. — I pierś trzecią rozdarłam,
I spojrzałam w nią — lecz była pusta!
I nie było w niej serca! — Jak chusta
Zbladłam we śnie i we śnie umarłam,
Widząc, że w niej serca nie było!
Harfiarze. Cóż to znaczy?
Roza W. Nad naszą mogiłą
Wejdzie słońce... lecz nie mówcie ludowi.

Dwunastu Wodzów [2]) wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach turze, drudzy jelenie mają rogi, u innych tylko pióro pawie lub czaple. Pancerze z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach.

Roza W. Oto wodze są. — Cóż, piorunowi?
Wiele ludu?
Wódz. Dwanaście tysięcy.
Roza W. Pijcie z czaszek tych i bladej śmierci
Urągajcie się, pijąc, niech wyje.
Wódz. Cóż ci mówiły wróżby?

---

[1]) Od tego wiersza zaczyna się charakterystyka nie Wenedów przeddziejowych, lecz współczesnego poecie społeczeństwa, jego klas oświeconych, emigracji przeważnie. Powtórzy to, w innej formie tylko, poeta w »Beniowskim«, a wcześniej już wypowiedział szerzej w »Grobie Agamemnona«, pomieszczonym przy pierwszem wydaniu »Lilli Wenedy«, jako »chór ostatni«.

[2]) Są to władcy tych dwunastu ziem, z których zebrali się Wenedzi. Podanie o dwunastu wojewodach nasunęło ten pomysł poecie.

Roza W. Jeśli podczas walki
Ojciec mój z harfą złotą, na kamiennym tronie,
Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń
Nie słyszaną, to przy nas zwycięstwo.

Wódz. Twój ojciec
I harfa jego złota w niewoli.

Roza. W. Bez wiary! —
Ojciec mój na tronie czarnym stoi,
Za swą harfą, jak za słońcem czerwonem.
Każdy harfy ton, jak rycerz w zbroi,
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch, głos każdy leci
I obala z rumakami rycerzy.
Ile strun, tyle wężów wybieży
Z harfy ojca, i oczyma zaświeci,
I skrzydłami ognistemi okręci
Wojsko Lecha.

Wódz. Gdzież wódz jest dwugłowy?

Roza W. Nie wierzycie mi, ludzie przeklęci?
Rzućcie czary te w krąg Derwidowy.
W kręgu trupich głów — wodza postawię.

Wódz. Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.

Roza W. Ty, co nosisz złote piórko pawie,
Migocące od pierwszych błyskawic,
Odwal kamień, ten kamień olbrzyma. —
Cóż? nie możesz? — Więc dwanaście prawic
Niech ten kamień odwali — choć ruszy.

Wodze. Nie możemy.

Roza W. Więc rękami go duszy
Ja podniosę — niech idzie do piekła.

Wodze. Cudy! słowo zaklęte wyrzekła,
I ten kamień wstał.

Roza Weneda wchodzi, odwaliwszy kamień, do podziemnego lochu i wyprowadza Lelum i Polelum, przykutych za ręce łańcuchem do siebie.

Roza W. I wódz się zjawił.
Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,
Z dwóch uczynił jednego człowieka. —
Chodź tu między czaszki, wodzu blady,
Bo już piorun niespokojny szczeka. —
Włożę wam zbroję.

Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem uzbraja jak jednego rycerza. — Tarcza olbrzymia, na ręku Lelum zawieszona, obu braci zakrywa. Polelum w prawą rękę, wolną od łańcucha, miecz bierze. — Roza Weneda, zawieszając, mówi do Lelum.

Ty będziesz bronił swego brata tarczą.

Do Polelum.

Ty go zakryjesz miecza błyskawicą. —
Biada, kto swego nie dopełni! biada!
Jesteście jednym rycerzem, mścicielem;
A gdy nie będzie was, to jęk żałosny
Przeleci wieki i zwiąże imiona.
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
Po waszych sercach, roztrzaskanych w piersi,
Jedna zostanie żałość w tej ojczyźnie
Nie rozróżniona, jako w sercu matki[1]). —
Krwi! krwi ofiarnej!

Polelum. Weź z mojego łona.

Roza W. Tu krwi potrzeba obcej, z niewolnika.

Wchodzi do lochu i wyprowadza na scenę Lechona.

To syn królewski. Patrzcie, jaki blady!

Lechon. Zlitujcie wy się, ludzie, mej młodości!
Ta grota pełna przerażeń, i wasze
Twarze są blade i przygotowane
Do zemsty. Wiem ja, że wy macie prawo
Mścić się nade mną i odebrać życie;
Lecz gdyby tutaj przyszła moja matka,
Królowa dumna i sroga kobieta,
Onaby was tu przekonała łzami,
Że ja potrzebny jestem na tym świecie,
Jak słońce, księżyc — jej i wam potrzebny:
Że wam śmierć moja na nic się nie przyda,
A życie moje jeszcze może zdać się. —
Nie zabijajcie mnie! nie zabijajcie!
Król wasz u mego ojca niewolnikiem,
Za syna swego ojciec odda króla;

---

[1]) Poeta, jak powyżej, przez usta Rozy Wenedy wyśpiewał potęgę harfy, t. j. pieśni (jest to rozwinięcie myśli Mickiewicza o potędze pieśni, dzierżącej »miecz archanioła«), tak tu znowu odtwarza swe marzenie i pragnienie co do roli i stanowiska, jakie, wraz z nierozłącznym Krasińskim, mają zająć w życiu i losach społeczeństwa polskiego.

Za mój włos każdy da wam ziemi włokę —
A patrzcie, jakie ja mam gęste włosy.
Matka je moja nieraz całowała.
Czy tu nikt nie ma matki?... A więc jeszcze
W sierotach większa być powinna litość.

Roza W. Krwi tej nie wezmę — za podła. Idź jęczeć!

Wypycha Lechona do lochu.

Czerwieńszą znajdę krew w sercu gołębia.

Ślaz wchodzi, prowadzony przez dwóch wenedyjskich rycerzy.

Cóż to za człowiek?

Ślaz. Ja tu dobrowolnie
Przychodzę, proszę wierzyć — dobrowolnie.

Roza W. Lechitą jesteś?

Ślaz. O! gdyby nie respekt
Dla was, rycerze, i dla tej mocarki,
Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie,
Że ja pies — dobrze; mówcie, że ja sowa —
Dobrze; mówcie, że bocian — doskonale! —
Lecz mówić, że ja Lechita! — mnie? — w oczy! —
Gdybym nie mienił to być uchybieniem [1]),
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita? — Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów,
Zwyczaj przysięgać in verba magistri,
Owczarstwo? — czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą,
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.

Roza W. Milcz. *Do Wenedów.*
Gdzie pojmaliście tego człowieka?

Rycerz. Dążył od strony Lechitów i wiele
Okropnych rzeczy w drodze opowiadał.
On widział króla naszego Derwida
Zamęczonego, siostrę twą zabitą.

Roza W. *do Ślaza.* Piekielny! kłamiesz.

Ślaz. Klnę się na te czaszki,
Ja sam wrę zemstą, ja sam zemstą płonę...
Dajcie mi w ręce cokolwiek, miecz, rożen,
Pierwszą broń dajcie, a ja mścić się będę...

[1]) Składnia łacińska (mienił to być uchybieniem), często używana u Piotra Kochanowskiego i w »Grażynie«.

Szlochając.

Ten król szanowny! ten starzec sędziwy!
Ta niebotyczna królewna! — miecz dajcie!
Jeśli potrzeba wodza — będę wodzem;
Jeśli człowieka tylko trzeba — jestem;
Jeśli tygrysa — a d s u m; jeśli księdza —
Do usług; jeśli Ganimeda [1]) — zgoda.

Roza W. Mówisz o zemście? — tu zemsta pod ziemią.

Bierze nóż i wchodzi do lochu, gdzie Lechon zamknięty.

Polelum. Lelum, noc bliska.

Lelum. Umarła — słyszałeś.
Cicho, mój bracie, zda mi się, że duch jej
Tu na łańcuchu stoi między nami
I lekką śmierci dłoń na głowie kładnie.
Czy ty nie czujesz umarłej dotknięcia?
Ona tak pójdzie z nami w bój okropny
I, serca nasze przejrzawszy do głębi,
Pogardzi, jeśli serca zadrżą strachem.
O! Lillo! tobie ślubuję dziś duszę!
Ducha ty weźmiesz ulatującego.
O! śmierci! śmierci! krwawej śmierci, Boże!
Jakże to łatwo być odważnym w boju!
Nieszczęśliwego Bóg nie zrobi tchórzem.
Gdzie są harfiarze? niech idą za nami
Z harfy złotemi! — Nie trzeba harfiarzy!
Umarli lepiej widzą i śpiewają
Tę pieśń o sercach, strzaskanych boleścią,
O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach.
Oni jedynie wiedzą, ile warte
Życie człowieka, ile ulatuje
Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
Które trzaskają ciało bohatera.
Już o umarłych tylko dbam i Boga,
O nic na ziemi.

Roza Weneda wychodzi z lochu z dymiącym się nożem.

Roza W. Patrzcie! nóż czerwony
W sercu Lechona był... patrzcie, czerwony,
Pomażę sobie brwi tą krwią — zobaczę
Dusze umarłych... i wy zobaczycie...
Tam w szczerwienionej ciemności powinni
Zjawić się krwawi król harfiarz z dziewczyną —
Lecz kto przemówi do umarłych, skona...

[1]) Ganimed był podczaszym bogów olimpijskich.

Wchodzi Derwid i Lilla Weneda.

Widzicie! o! widzicie! idą trupy!
Ja wywołałam je z pod ziemi — przyszli.
Lilla W. Przyprowadziłam wam ojca z niewoli.
Oto wasz ojciec.
Derwid. Cóż to? nie poznali?
Posadź mię, córko moja, na kamieniu —
Cóż? — nie poznali!
Roza W. Bez harfy przyszedłeś.
Derwid. Niebiosa! *Zrywając się.*
O! ja przyszedłem bez oczów!
Wydarte moje oczy płakać będą,
Jak się dowiedzą o tem. O! gadzino,
Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? — Lilla, daj rękę,
Prowadź mnie dalej.
Lilla W. Gdzie, ojcze?
Derwid. Do wężów,
Które ty pieśnią tak ulaskawiłaś,
Że mi nie będą gryzły serca.
Lilla W. Ojcze!
Derwid. Gadzina córka — gdy mi darto oczy,
Myślałem, że ta córka wydrze oczy
I włoży w moją czaszkę swoje oczy!
A teraz widzę, że mi wydrze serce
I włosy w swoje piersi puste. — Harfo!
Ty jesteś harfą bez strun! czarownico!
Tak witać ojca? Kiedym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości;
A ty, jako kruk, widząc te czerwone
Oczy, zaglądasz w nie i głodnym dziobem
Wyjadasz mi łzy czerwone, ostatnie.
O! bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie!...
Roza W. O! bogdaj mię piorun!...
Bo ty bez harfy przyszedłeś, o! królu!
I dziś upadniesz na stos — bez królestwa.
Lilla W. Nie, on zwycięży dziś, bez młodszej córki,
Ale przez córkę młodszą dziś zwycięży...
Widzisz? płaczący usiadł na kamieniu
I duma, jako stary bocian ślepy.
Bądź ty mu córką. — Niech kto pójdzie za mną
I złotą harfę przyniesie...
Roza W. Co mówisz?
Harfę odzyskasz... jak?
Lilla W. Za harfę złotą
Sama się oddam Lechom... i zostanę...

Roza W. Więc idź... bo harfa zwycięży...
Lilla W. O! siostro,
Jeśli chcesz harfy — i mnie pragniesz widzieć
Żywą... Lechona mi daj niewolnika:
Za mnie królowa wydać obiecała
Harfę — a moje życie da za syna.
Roza W. Więc zginęliśmy, bo Lechon zabity.

Do Ślaza.

Kłamco ohydny! rzucić go ze skały.
Lilla W. Nie plamcie wy krwią tej godziny smętnej,
I mej śmiertelnej koszuli — ten człowiek
Niech idzie ze mną po harfę.
Roza W. Co mówisz?
Ty nie odważysz się wrócić do Lecha.
Lilla W. O! siostro moja, jam się obeznała
Ze śmiercią; wierzaj, ja wam harfę przyślę.
Mówisz, że harfa ta wam da zwycięstwo?
O! zwyciężajcie i bądźcie szczęśliwi! —

Klęka przed ojcem.

Ojcze! błogosław mi — może nie wrócę —
Ale ci lutnię twoją przyślę złotą;
A jeśli jaka struna z najmaleńszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń triumfu,
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko i uderz ją ręką,
Niechaj nie płacze. *Wstaje i do Ślaza mówi.*
Chodź ze mną, człowieku.
Chodź! chodź! pójdziemy po harfę.

Wychodzi ze Ślazem.

Roza W. Zwycięstwo!!!
Ten starzec usiadł, córki swojej płaczem
Ukołysany — patrzcie! Cóż jest ojciec!!!
Nieście śpiącego na tron Derwidowy.
Zwycięstwo! Sto serc ludzkich — za zwycięstwo!

Wychodzą.

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

O! ileż trzeba ofiar! ile jęku,
Nim zemsty straszna noc, jak piorun, błyśnie!
Oto zwycięstwa moc w gołąbki ręku,
Tu wodza rąk dwie bratnich łańcuch ciśnie;
Tu król, co jękiem harf zwyciężyć mniema
I głośniej grać — niż mrący ludzie jęczą;

Tu wróżka z krwią na rzęsach stoi niema,
I słucha, jak na mieczach miecze brzęczą;
I widzi strasznych czynów ludzkich końce,
Przeczuwa boży sąd. — A gdy noc głucha,
To z wiary mrącym ludziom robi słońce;
Woła piorunów, patrzy, jak biją — i słucha.

AKT V.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha, oświecona od gęstych piorunów.
Lech, Sygoń, Św. Gwalbert.

Lech. Na koń! straż przednia pierzchła.
Gwalbert. W imię krzyża
Dajęć zwycięstwo.
Lech. W czyjekolwiek imię,
Biorę, gdy dajesz; jeśli nie dasz, wydrę.
Gwalbert. Każ mi dać konia, bo dzisiejszej nocy
Najświętsza Panna, w celi mej spalona,
Objawi mi się nad najświętszym trupem,
Nad krwią, najbardziej Bogu ukochaną.
Każ mi dać konia.
Lech. Ha! pioruny biją,
Jakby się walił świat. — Straż przednia pierzchła.
Hej! miecz Rolanda...

Wchodzi Gwinona w żałobie.

Moja czarna żono,
Siedź w zamku... i każ wieżycom na czole
Położyć gwiazdę z ognia — ile razy
Pioruny zgasną, a we krwi utonę,
Wypłynę z koniem ku twemu ogniowi.
Pocałuj dzieci. — Uśpić je musiało
Parne powietrze.
Gwinona. Arfon się piorunów
Lęka i płacze.
Lech. Czy chory?
Gwinona. Zalękły.
Lech. Na koń, rycerze, a ty zamknij okna,

Żeby nie wleciał tu na miejsce męża
Piorun czerwony. Lechici! do broni!

Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.

Gwinona. Chodźcie tu, dziewki, bo mi samej straszno!

Wchodzą Dziewice.

Czy która bajek nie umie, niech gada,
Bo mi tak straszno, jak w śmierci godzinę.
Wiecie, że mój syn już pewnie nie żyje,
Ona po harfę ojca nie wróciła;
Pewnie nie żyje mój syn! Ale jeszcze
Ja mam nadzieję. — Ach! jak mi okropnie!
Wy także wszystkie jesteście strwożone,
Jak białych stado łabędzi. Tej nocy
Coś okropnego stanie się. — Dziewczęta,
Idźcie spać — sama zostanę wam strażą.

Dziewice wychodzą.

W powietrzu jakiś straszny, piorunowy
Zapach i dziwne skargi i płakanie,
Jakby się skarżył mój syn opuszczony
I wołał: matko! matko! matko! — ha! ha!

Wchodzi Lilla Weneda.

Czy syn mój przyszedł z tobą? —

Lilla Weneda odpowiada gestem rozpaczy.

Nie dręcz ty mnie,
Ale odpowiedz prosto, że zabity.
A jeśli żyje, odpowiedz, że żyje;
A ja wygryzę twe błękitne oczki
Pocałunkami. — O! powiedz, że żyje.
Lecz jeśli? jeśli mój syn?...
Lilla W. Ty okropna.
Gwinona *zbliżając się wściekle, lecz zwolna.*
Jeśli już — mój syn — już —
Lilla W. Przy bramie czeka...
Gwinona. Mój syn!
Lilla W. Na harfę moją czeka człowiek.
Gwinona. Harfiarko! *Chwyta ją za szyję.*
Lilla W. Pani sroga, ty mię dławisz!
Gwinona. Harfiarko!
Lilla W. O! o!

Gwinona. Krzycz! krzycz! krzycz! harfiarko!

Zrywa pas i dusi Lillę Wenedę.

Krzycz uduszona. — A co? — już bez ducha! —
Do mnie, dziewice! do mnie — trup jest ze mną.

Wchodzą Dziewice.

Dziewica. Jakie to wrzaski?
Gwinona. Co?
Dziewica. Tu coś upadło.
Gwinona. Ten trup.
Dziewica. Okropność! okropność! okropność!
Gwinona. Okropność — to ja udusiłam wstążką —
Czy się boicie tknąć rękami trupa?
Ha?...
Dziewica. Uduszona?
Gwinona. Oni mi zabili
Syna. —
Dziewica. O! biedne, bielutkie stworzenie!
Cóż ci zawinił biedny gołąbeczek!
Pozwól przynajmniej, że ją ubierzemy
W srebrną bieliznę, w bławatki, w narcyzy
I zaśpiewamy nad umarłą lament.
O! jak te piersi krąglutkie ostygły!
Jak te nóżeczki zimne zbłękitniały!
Pomóżcie, siostry, wynieśmy ją razem
Z tego pokoju, gdzie przez okna czarne
Ciekawe patrzą błyskawice z krzykiem. —
Ostrożnie! nóżki owińcie koszulą! —
Ona się do nas uśmiecha. — Ostrożnie!

Wynoszą ciało Lilli Wenedy.

Gwinona. Gdym ją dusiła, dziesięć matek było
We mnie zamkniętych — teraz przerażona,
Że wszystkie we mnie syczące gadziny
Ucichły — jestem jak trup. — Co uczynię?
Aha — odeślę Derwidowi harfę.
A sama włożę zbroję... w krew się rzucę...

Wychodzi.

SCENA II.

Pole przed zamkiem Lecha.

Ślaz *stukając do bramy.* Hej! hej! czy jest tam kto? czy tu
Wybiły ludzi? czy się pan odźwierny [pioruny
Powiesił? hej! hej! — pies wyje żałośnie.
Mości psie, proszę, przypomnij królowej,
Że ja tu czekam na harfę... hej! hej! hej! —
Nikogo — tylko psy żałośnie wyją,
Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun. —
Hau! hau! — bogdajbyś zdechł! bogdaj cię piorun!
Hau — hau — czy w panu swoim wąchasz trupa?
Czy śmierć kościana ci przeszła pod nosem? —
Brr... aż mi zimno. — Cóż to są za mary?

Otwiera się brama, wychodzą dziewice w bieli z pochodniami, niosąc skrzynię od harfy zamkniętą.

Dziewica. Człowieku!
Ślaz. Jestem.
Dziewica. Oto jest w zamknięciu
Harfa-Derwida; odnieś ją i powiedz,
Że dotrzymuje przysięgi Gwinona.
Ślaz. Włóżcie mi, proszę, pudło na ramiona,
Piękne dziewoje.
Dziewica. A śpiesz się, człowieku.

Wychodzą.

Ślaz. Pełno teraz po drogach ludzkiego rozcieku [1]),
A śmierć pod swoją kosę głupich ludzi garnie,
A pioruny jej świecą z nieba, jak latarnie.
To zaś mój święty Gwalbert zowie światłem wieku.

Wychodzi ze skrzynią na ramionach.

SCENA III.

Pole walki. Noc błyskawicowa. — Lech i Sygoń *wchodzą.*

Lech. O! mój Sygonie! to walka olbrzymów,
Pioruny przeciw nam; bo tylko słuchaj —
Już przez szeregi, napół wyrąbane,
Przelatywałem nawskróś — już oczyma
Sięgałem w same krwawe serce wrogów.
Już byłem wpadł — tam, gdzie pod dębami
Starce, pochodnie, harfy zgromadzone
Pod skrzydłem siedzą błyskawic, jak owce,
W burzę pod gruszą tulące się wiankiem:
Jużem miał w rękach króla — kiedy nagle

[1]) Krwi ludzkiej.

Piorun, nad głową moją roztrzaskany,
Zabił mi konia.

Sygoń. Panie! rzecz straszniejsza!
Spotkałem czarne straszydło dwugłowe —
Spotkałem wodza Wenedów.

Lech. Czy straszny?

Sygoń. Wódz ten dwie głowy ma na jednem ciele,
Czasem się obie głowy razem schodzą,
I plączą rogi na helmach ogromne:
Czasem się jedna zaiskrzona ciska
Z wściekłością węża na ludzi — a druga
Patrzy spokojnie i szuka oczyma
Serc w naszych piersiach.

Lech. Za mną! ja go znajdę...

Wybiega.

Sygoń. Włos mi osiwiał — ale tak okropnej
Nocy za życia mego nie widziałem.
Chorągwie toną we krwi — jedną piorun
Zapalił złotym płomieniem i bladość
Lekkiego ognia rzucił ludziom w twarze...

Lelum i Polelum wchodzą.

Lelum. Lech! Lech! Lech!

Napadają na Sygonia.

Sygoń. Wodzu ohydny Wenedów,
Jeśli człowiekiem jesteś, będziesz trupem.

Biją go.

Polelum. Zakręć łańcuchem koło niego — i związ.

Gdy Polelum walczy, Lelum obiega wokoło Sygonia i okręca mu łańcuch na gardle, tak, że Sygoń zostaje powieszony na łańcuchu, który łączy ręce bratnie.

Lelum. Teraz rozbieżmy się, łańcuch udusi.
Polelum. Zacharkał — puść go.
Lelum. Leży uduszony.

Odwijają łańcuch, Sygoń się wali trupem.

Na łuku moim kładź zatrute strzały.
O! gdyby ojca harfy jęk — o! gdyby
Jeden jęk tylko harfy Derwidowej,
A z wszystkich byłyby — o takie trupy...

Wychodzą.

SCENA IV.

Pole toż samo. **Lech, Sygoń** *zabity.*

Lech. Sygoń! tu do mnie! Sygoń! znów zabiłem
Ludzi dwunastu, miecz mi się wyszczerbił.
Co widzę? Stary Sygoń leży trupem?
O! zemsta! zemsta!

Wchodzi Św. Gwalbert z krzyżem.

Gwalbert. Jęki króla słyszę.
Lech. Zdejm z niego zbroję i zobacz, gdzie ranny?
Gwalbert. Na ciele żadnej nie odebrał rany,
Lecz ma zsiniałą twarz, jak powieszony,
Albo zabity piorunem.
Lech. O! zemsta
Nad piorunami!... *Wychodzi.*
Gwalbert. Biedny poganinie.
Chodź, ja dam tobie pogrzeb chrześcijański.

Wychodzi, ciągnąc trupa.

SCENA V.

Monument z druidycznych kamieni w lesie. **Derwid** *na tronie kamiennym, wokoło dwunastu Harfiarzy na dwunastu siedzą kamieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia, w ziemię zatknięta.* **Roza Weneda** *stoi za ojcem, na tronie... Dąb Derwidowy na prawo.*

Derwid. Cóż, jeszcze niema harfy? a ja słyszę
Jęki narodu i szelest płynącej
Krwi. — Jeszcze niema harfy — o! bogowie!

Wchodzi Wened ranny.

Wened. Przybiegłem ranny — Lechici nas łamią,
Lud czeka pieśni.
Derwid. O! Boże! o! Boże!
Wened. Ja konam, królu — graj pieśń... ja umieram.

Pada i kona.

Derwid *wstając na tronie i rwąc włosy.* Pioruny, bijcie
[we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje to puch, jak te włosy,

Które wiatr bierze, z krwią moją wyrwane...
O! wichry! rwijcie mi włosy! o! wichry!

Lelum i Polelum wchodzą.

Lelum. Ojcze, giniemy, graj pieśń...
Derwid. Idźcie skonać,
Ja nie mam harfy.
Roza W. Ustąpcie się wszyscy,
Już słyszę harfę idącą, już słyszę...
Uderzcie w tarcze, niech się zejdą wodze!
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.
A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,
A wszyscy, którzy nie usłyszą — pomrą.

Wchodzi Ślaz z harfą w skrzyni.

Ślaz. Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...
Przynoszę harfę — gdzie postawić?
Roza W. Daj tu...
O dąb oparta królewski, niech czeka...
Ślaz. A wam królowa kazała powiedzieć,
Że dotrzymuje przysięgi.
Roza W. Precz, wężu!
Ślaz. A to i dobrze, schowam się w bagniska.

Odchodzi.

Roza W. Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

Wchodzi Wodzów dwunastu z bnażonemi mieczami, wszyscy krwawi.

Oto są wodze i pieśni godzina —
Ojcze, przy dębie Derwidowym harfa...

Derwid wstaje z tronu i zbliża się do harfy.

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć?... Już słyszę
Serca, bijące w ludziach. — Gdzie ta harfa? —
Czekajcie! — Jak mi drży serce! — Gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą —
A duszę już mam w rękach, tu — jak piorun,
Jak piorun, całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.

Dotyka się omackiem skrzyni harfowej.

Harfa w skrzyni —
Wenedo, otwórz.

Roza Weneda zdejmuje wieko ze skrzyni harfowej i cofa się, odciągając ojca za rękę. W skrzyni bowiem, zamiast harfy, widać umarłą Lillę Wenedę, w śmiertelnej koszuli, z wieńcem bławatkowym na głowie...

Puszczajcie do harfy!
Dlaczego wy mnie trzymacie za szaty!
Dlaczego wstręty czynicie[1]) starcowi? —
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę,
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelną.

Wyrywa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarłej Lilli Wenedy.

Cóż to?... rzecz jakaś zimna... to nie struny...
Ja pod palcami memi czuję trupa...
Co to jest?... o! to nie harfa... to ciało
Mojej umarłej córki...

Chwila milczenia. Roza Weneda chce ojca odprowadzić od ciała zmarłej, starzec nie daje się córce.

Precz, gadzino,
Tu moja tamta córka... tu, tu, w trumnie.
O! o! umarła! — Czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę! — o! ja znajdę
Twoje usteczka. — O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej, proszę!
Nie odrywajcie.
Roza W. Cóż to — nie słyszycie
Tej pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!
Derwid. O! o! gołąbek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.
Harfiarz. Ojciec płacze.
Derwid. Ja ciebie widzę, córko! — twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. — Ja ciebie widzę w grobie głowy
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku!
Wychodzisz z rączki otwartemi — O! o!
Tu! — czy widzicie? tu — śmieje się, płacząc...
Umarła moja, najmilsza umarła!
Moja jedyna!

---

[1]) W staropolskim języku wojskowym znaczyło: stawiać opór. Formę tę spotykamy też w »Grażynie«.

Roza W. Wiedziałam ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... już dawno widziałam
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe. — Cóż! czemu tak bladzi!
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
Która nie chcących umrzeć oszukała? —
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu! — Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
Nie dosyć jeszcze? — o! wy moje włosy
Wyrwane, w garść się wężów przemieniajcie
I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem.

1-y z Wodzów. Wróżko, przyrzekłaś nam zwycięstwa harfę.

Roza W. Ja ci przyrzekłam? — co? — Chodź tu i patrzaj.
I ty myślałeś, że więcej jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzież taka harfa, jak ten trup? Gdzie takie
Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach córki rozwija warkocze
I szuka w nich, jak w strunach drżących, głosu?
O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
Że się pomścicie... resztę zdajcie gromom
I później zemście czasu... przysięgnijcie!

Wodze. Zaprzysięgamy zemstę... aż do śmierci.

Wychodzą.

Lelum, *całując zmarłą siostrę.*

Na ustach twoich, siostro — zaprzysięgam,
Że zobaczymy się dziś. — O! Lechici...

Derwid *dobywa z zanadrza nóż ofiarny i mówi, przebijając się dwa razy.*

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce...

Pada martwy.

Roza W. Tam stos na prawo. — Weźcie te dwa ciała
I spalcie razem, a wokoło stosu
Trzymajcie urny z królów popiołami:
Jeśliby który Lechita szedł gwałtem
I chciał ze stosu porwać ciała święte,
To wy go temi urny przywalicie.

Harfiarze biorą urny i pochodnie... Czterech zaś kładą na barki ciało Derwida i Lillę Wenedę w skrzyni cedrowej... i wychodzą... Roza Weneda obraca się do Lelum i Polelum i mówi.

Tu, na tronowym kamieniu ułożę.
Stos z pachnącego drzewa... Czekam na was...

Lelum, Polelum wychodzą walczyć, Roza Weneda odchodzi w głąb lasu.

SCENA VI.

Pole walki. Noc i burza.

Lech *wchodzi.* Złamani! — tych psów wycinać do reszty.
Co to za rycerz? —

Wchodzi Gwinona w zbroi.

Gwinona. Jam się uzbroiła
Mścić się za mego syna! mścić się jeszcze.

Lech. Można ich teraz rąbać, jak barany —
Zupełnie ducha stracili ci ludzie.
Stracili ducha o samej północy,
I odtąd rąbią ich nasi, jak trzodę.

Gwinona. Harfiarza! ja chcę harfiarza!

Lech. Ostrożnie,
Bo przy nim musi być ludzi ostatek.

Gwinona wychodzi. — Św. Gwalbert wchodzi.

A ty co robisz?

Gwalbert. Ja chrzczę niedobitych,
Aż mi się Matka Chrystusowa zjawi...

Lech. Chciałbym napotkać dwugłowego wodza
I ofiarować życie potworowi,
Byleby chodził za pługiem. *Wychodzi.*

Gwalbert. A ja tu
Siądę na kępie. — Kto noc taką widział,
Ten wie, co waży świat... co warci ludzie...
Litośniejszemi są pioruny złote,
Bo tylko sosnom serca rozdzierają.
Na toż to matkom dzieci swe hodować,
Aby z nich były kiedyś takie jatki?
Każdy trup tyle wart, ile kosztował;
Spytaj się matki, niech oceni trupa —
Zlękniesz się... gdybyś zapłacił, co mówi,
Mogłaby kupić za zmarłego syna

Żywe królestwo, gdzie są milijony
Synów i matek...

Ślaz pokazuje głowę z poza kępy.

Ślaz. Prześwięty Gwalbercie!
Gwalbert. A co tu robisz, Ślazie?
Ślaz. Grzęznę w błocie.
Gwalbert. A jakże ty się tu znalazłeś?
Ślaz. Święty,
Wprzód mnie wyratuj za uszy — bo tonę...
A potem twoje zaspokoję uszy...
Gwalbert. Łajdaku! tyś mi spalił celę.
Ślaz. Nie ja,
Djabeł ją spalił — jam cię, ojcze, szukał,
Aby się tobie na djabła poskarżyć...
Gwalbert. Dziś odkupienia noc... Gapiu, chodź ze mną.
Ślaz. Teraz do śmierci będę księżym sługą.

Wychodzą.

SCENA VII.

Inna część pola.

Lech wchodzi. Zabiłem wodza pół...

Gryf wchodzi.

Gryf. Gdzie Lech?
Lech. Co słychać?
Gryf. Małżonka twoja, panie, leży trupem.
Lech. Zabita?
Gryf. Panie! okropnie zabita,
A tem okropniej, że już lud Wenedów
Bezbronny, miecze rzucając, uciekał...
Kiedy królowa, obaczywszy wzgórze
I płomień wielki, czerwony i wieniec
Czarnych postaci, przy płomieniu krwawym,
Krzyknęła: Derwid tam być musi stary!
I z obnażonym mieczem szła na górę.
Wtenczas ci czarni, stojący przy stosie,
Na którym dwoje paliło się trupa,
Chwycili urny pełne dawnych prochów,
I na królowę, co się skał imała,
Rzucili z góry straszne popielnice. —
Przybiegłem — ona leżała okryta
Prochem i ludzi umarłych kośćiami,
Z piersią okropnie roztrzaskaną — martwa.

Lech. Biedne me dziatki — będą pytać o nią.
Patrzaj — nie mogę teraz płakać — krwawy.
Nieście do zamku zwłoki nieszczęśliwej
I każcie obmyć z ludzkiego popiołu.

Wychodzą.

SCENA VIII.

Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu, gdzie stał tron Derwida.

Roza W. *sama.* Już lud wyrznięty, i ustaje burza.
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie;
Teraz dwanaście tych pustych kamieni,
I tak na wieki już! i tak na wieki!...

Wchodzi Polelum, niosąc na rękach ciało zabitego brata, jeszcze przykute doń łańcuchem.

I cóż — nie mówisz nic do mnie, Polelum?
Polelum. O! patrz, zabity brat na piersiach mi śpi.
Roza W. Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?
Polelum. Nie rusz łańcucha. — Gdzie stos dla umarłych?
Roza W. Masz zgliszcze — burza zgasiła pochodnie.
Polelum. Poszukaj ognia.
Roza W. Ogień dadzą chmury.

Polelum wchodzi na stos z trupem brata.

Polelum. Jam gotów — pieśnią zawołaj piorunów!
O! śpij na piersiach moich, bracie blady!
Wszystko skłonione do snu na tym świecie. —
Wróżko, zawołaj piorunów; jam gotów...
Roza W. Podnieś do nieba rękę z ręką trupa.
Wołajcie oba gromów łańcuchami.

Wchodzi Lech.

Lech. Stójcie, poganie, przynoszę wam życie!

Wchodzi Św. Gwalbert.

Gwalbert. Stójcie, poganie, przynoszę wam wiarę.
Polelum. Życie i wiarę?! — Boże, patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego — patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę triumfu i urągowiska?
I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!

I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie. O! stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzgardę! O! nie pozwól, Boże,
Aby grobowiec mój był na tej ziemi,
Gdzie oni żyją. — Chmury! czarne chmury,
Co uciekacie z nad trupiego pola,
Ostatnie miecąc pioruny — o! chmury!
Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu
Z tą drugą ręką mego brata trupa;
Obie te ręce i ten łańcuch proszą
O piorun jasny, litośny, ostatni...
Cóż? nie słuchacie? — Więc tą ręką trupią
I tym łańcuchem wyzywam do walki
Was, napełnione piorunami burze,
Aż prośbą piorun wasz nie wywołany
Wydrę przekleństwem.

Piorun bije w stos, i drzewo zajmuje się złotym płomieniem. Lelum i Polelum nikną w blasku. — Powoli nad gasnącym stosem ukazuje się postać Bogarodzicy [1]).

Św. Gwalbert, pokazując na zjawienie.

A v e, nieśmiertelna!

Lech. Cudowne widmo w obręczu z płomyków!

Roza Weneda, wchodząc na stos zagasły, grzebie w popiołach, znajduje łańcuch próżny [2]), którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum, i, rzucając go pod stopy Lecha, mówi:

Patrz, co zostało z twoich niewolników!

---

[1]) Jak Tasso we wstępie do »Jerozolimy«, a następnie Mickiewicz na czele »Pana Tadeusza«, tak teraz postać Bogarodzicy w różnych przekształceniach, nadających jej cechy ideału wogóle albo też idealnej Polski przyszłych wieków, wprowadzają: Krasiński do Przedświtu i Psalmów, a Słowacki w Zborowskim, Wierszu do autora Trzech Psalmów i Królu Duchu.

[2]) Ten łańcuch, to symbol wspólnych obu braciom uczuć i dążeń, a zarazem wspólnych dwu poetom ideałów, które przetrwają po ich zgonie w nieśmiertelnych pięknością i siłą utworach.

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona [1])
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos [2]) — ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu, po kamieniach, z pracowną Arachną [1])
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo;
Tu czarbry smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu, po kamieniach, z pracowną Arachną [3])
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy —
Jest objawieniem, wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli, tak jak orły, ważą.

---

[1]) Agamemnon, syn Atreusa (stąd ród Atrydów), a brat Menelaosa, król Myceny i Argos, wódz wojsk greckich pod Troją. Po powrocie z wyprawy został zamordowany, z poduszczenia żony Klitemnestry, przez Egistosa. Poeta zwiedzał w czasie podróży po Grecji domniemany grobowiec rodu Atrydów.

[2]) Elektra, córka Agamemnona i Klitemnestry, siostra Ifigenji i Orestesa, którego ukryła przed Egistosem, zabójcą ich ojca, a następnie pomagała mu w ukaraniu zabójcy i pomszczeniu wyrządzonych im krzywd.

[3]) Arachne, prządka, która, rozgniewawszy delikatnością roboty boginię Atenę, zazdroszczącą jej tego mistrzostwa, została przez nią zamieniona w pająka.

Biblioteka Pedagogiczna Radom

Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnemi zieleni
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera. —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć, i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój — senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie, zamiast wody, płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei [1])
Trzeba się memu załamać koniowi,
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej...

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legjon umarłych Spartanów;

[1]) Cheronea, miasto w Beocji, pamiętne klęską Greków, zadaną im w r. 338 przed Chr. przez Filipa Macedońskiego.

Bo jestem z kraju smutnego Ilotów [1]),
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół rycerzy — żywych [2]).

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli mężе nad mogiłą
I, pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — »Wielu was było?« —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym [3]);
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry palącą koszulę [4]),

[1]) Wyraz grecki, znaczący: niewolnik.

[2]) Ironiczne określenie emigrantów z r. 1831, którzy, będąc żołnierzami, po doznanych klęskach, złożyli broń i szukali schronienia w Zachodniej Europie.

[3]) Póki Polska będzie narodem szlacheckim, którego cechą główną jest rubaszność.

[4]) Dejanira, córka [illegible] władcy, siostra Meleagra, wzbudziła miłość w Herkulesie, który zabił swego współzawodnika, centaura Nessusa. Ten ostatni podarował Dejanirze swą skrwawioną szatę, która jakoby miała wywoływać w obdarowanym nią miłość dla dawcy. Dejanira posłała ją w tym celu Herkulesowi, lecz on, włożywszy zdradziecki dar, skonał w strasznych cierpieniach.

A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styksowym [1]) wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą [2]),
A teraz jesteś służebnicą cudzą.
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy! [3])

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida [4]), przez wężowe rózgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza [5]) —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nade mną — zwinie się w łęk, jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!!

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka Radom
58586

---

[1]) Styks — rzeka piekielna.

[2]) T. j. nie wytworzyłaś własnej kultury, a wszystko przejmowałaś od obcych.

[3]) Surowość sądów powyższych łagodzi przyznanie, iż sam dzieli te wady i winy ogółu.

[4]) Eumenidy, boginie karcicielki krzywoprzysięstwa, mordów, krzywd. Eschilos napisał tragedję, noszącą to miano.

[5]) Prometeuszowi, przykutemu do skał Kaukazu, za wykradzenie bogom ognia, sęp szarpał nieustannie wnętrzności.

21
11/23/18483

58586

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

Wybór pisarzów polskich i obcych

dla domu i szkoły, ze wstępem i objaśnieniami Br. Chlebowskiego, Ign. Chrzanowskiego, H. Gallego, G. Korbuta, K. Króla i innych.

1. **Kochanowski J.** *Treny*, opr. B. Chlebowski.
2. **Mickiewicz Ad.** *Grażyna.* Powieść litewska, opr. H. Galle.
3. **Kochanowski J.** *Odprawa posłów greckich*, oprac. Br. Chlebowski.
4. **Mickiewicz Ad.** *Konrad Wallenrod*, powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich, oprac. H. Galle.
5. **Brodziński K.** *Wiesław*, oprac. H. Galle.
6. **Skarga P.** *Kazania sejmowe* (Wybór). Opracował Ignacy Chrzanowski.
7. **Mickiewicz Ad.** *Dziady*, część II i IV tudzież fragmenty pośmiertne, oprac. Br. Chlebowski.
8. **Krasiński Z.** *Nie-Boska komedja*, oprac. H. Galle.
9. **Pol W.** *Mohort.* Rapsod rycerski, oprac. K. Król.
10. **Malczewski Ant.** *Marja*, powieść ukraińska, opracował G. Korbut.
11. **Słowacki J.** *Lilla Weneda*, tragedja w 5 aktach. Grób Agamemnona. oprac. Br. Chlebowski.
12. **Krasiński Z.** *Irydjon*, oprac. H. Galle.
13. **Niemcewicz J. U.** *Powrót posła*, oprac. K. Król.
14. **Słowacki J.** *Balladyna*, tragedja w 5 aktach, opracował A. Drogoszewski.
15. **Feliński Al.** *Barbara*, tragedja w 5 aktach. oprac. H. Galle.
16. **Krasicki I.** *Myszeis*, oprac. K. Król.
17. **Zabłocki Fr.** *Sarmatyzm.* Komedja w 5 aktach, opracował H. Galle.
18. **Słowacki J.** *Beniowski*, poemat, oprac. A. Drogoszewski.
19. **Potocki W.** *Wojna Chocimska* (w skróceniu) opracowała M. Dynowska.
20. **Goszczyński S.** *Zamek Kaniowski*, oprac. G. Korbut.
21. **Romanowski M.** *Dziewczę z Sącza*, oprac. H. Galle.
22. **Krasicki I.** *Mikołaja Doświadczyńskiego* przypadki (w wyjątkach i streszczeniach), oprac. K. Król.
23. — *Pan Podstoli* (w wyjątkach i streszczeniach) oprac. K. Król.
24. **Homer.** Iljada w urywkach i streszczeniach z objaśnieniami J. Zakrzewskiego.

Dalsze tomiki w druku.